Cena 9 d

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 27/106 Londyn, dnia 3 lipca 1949 CENA 9 d.

TRZY są główne zagadnienia, które wywołały wielkie zainteresowanie Czytelników ŻYCIA: „Wschód — Zachód", sprawa niemiecka, oraz temat, rzucony przez Ojca Prof. I. M. Bocheńskiego „Lenin czyli o tomiźmie".

Do dyskusji „Wschód — Zachód" powrócimy dopiero po pewnym czasie i wykorzystamy obfity materiał, który nagromadził się w tece redakcyjnej. W sprawie niemieckiej, w odpowiedzi St. Sopickiemu ukaże się w nast. nrze z pasją napisany artykuł J. Giertycha. Równocześnie zamieścimy, z kolei, artykuły J. Zdziechowskiego i W. Wasiutyńskiego w odpowiedzi O. Bocheńskiemu (dalsze artykuły innych autorów — w następnych numerach). W nast. nrze ŻYCIA ukaże się także artykuł Zofii Kossak p.t. „W świetle tajemnic" poświęcony zmarłemu niedawno w Kraju Szczepanowi Jeleńskiemu.

W nrze dzisiejszym dyskusja o Leninie i Tomiźmie na str. 8.

JAN TOKARSKI

ZA MAŁO — O CAŁĄ NIESKOŃCZONOŚĆ

W OSTATNIĄ niedzielę w Hyde Park, na Spouters Corner przy Marble Arch, ktoś z tłumu słuchaczy i dyskutantów, oblegających podium Catholic Evidence Guild rzucił pytanie przemawiającemu zakonnikowi:

— Jaka jest różnica pomiędzy Chrystusem Rzymskiego Kościoła, a Chrystusem anglikanów z Church of England?

Zakonnik był trochę bezceremonialny; złośliwy i sarkastyczny ale i dowcipny. Niektórych dyskutantów o wyraźnie złej woli dezawuował lub ośmieszał bez pardonu. Na to pytanie jednak, zadane przez statecznego average man'a, udzielał obszerniejszej odpowiedzi. W pewnej chwili powiada:

...„Wtedy Henryk VIII ogłosił się głową angielskiego Kościoła, papieżem Anglii. Swą religię państwową obwarował srogimi rygorami zarówno przeciw protestantom jak i katolikom. **Trzeba było ją przyjmować i to w takich a nie innych dawkach.** — **Religia więc jest pierwszą rzeczą, która w naszym kraju została znacjonalizowana i zracjonowana na 400 lat przed rządami socjalistów.** „The first thing which was to be nationalized and rationed..." W tłumie słuchających (nie wyłączając autora pytania) nie było nikogo, kto by nie roześmiał się w głos.

POKUSA ZACHODU

Zracjonowana religia. Religia państwowa. Narodowa. Kościół, jako narzędzie państwa, jako jedna „z sił cywilizacyjnych narodu"... Oto odwieczna pokusa Zachodu. Przez ostatnich 16 wieków Kościół nasz walczy z tą hydrą, której nienasycony łeb nie przestaje odrastać pod coraz to inną postacią. Od Konstantyna Wielkiego, który taki właśnie stosunek do religii przejął wprost jako aktualną instytucję łacińską, rzymską, poprzez późniejszych cesarzy chrześcijańskich, poprzez rody Rzymu, poprzez Karola Wielkiego, potem cesarstwo niemieckie, królów hiszpańskich, francuskich, angielskich aż po nacjonalizmy i faszyzmy naszych czasów widzimy bezustanną walkę zachodniej władzy świeckiej, zachodniej filozofii, literatury, prawa, a od czasu protestantyzmu i religii nawet — przeciw wolności Kościoła. Słabła w niektórych okresach wzmagała się w innych. Ale od dwudziestu wieków nie ustaje.

Przez swe prawa i rygory moralne Kościół jest, pod pewnymi względami, „narzędziem" państwowym; przez dyscyplinę umysłową, którą wytwarza i przez kulturę której sam potrzebuje i której jest drożdżami, Kościół jest także „siłą cywilizacyjną" narodów. To prawda. Lecz ponadto jest czymś nieskończenie bardziej nieskończonym niż służba i pożytki, które na tym planie przynosi będąc przecież od Boga „dla ludzi postanowionym". Jest bowiem nie tylko instytucją, lecz Osobą, nie tylko organizacją lecz Organizmem, nie tylko czymś, lecz Kimś, dalej żyjącym Chrystusem; jak powiada św. Augustyn: jest „Chrystusem, nauczającym Chrystusa".

„ŻYCIE RELIGIJNE INTELIGENCJI POLSKIEJ JEST WE MGLE"

W „Legendzie młodej Polski" mówi Stanisław Brzozowski:

„Nigdzie chyba na całym świecie stosunki pomiędzy katolicyzmem jako religią ludową, a katolicyzmem jako głęboką dyscypliną moralną, obejmującą całe życie człowieka, pomiędzy katolicyzmem maluczkich i katolicyzmem doktorów, nie ułożyły się w sposób tak straszliwie demoralizujący jak u nas. Nie wątpię, że pośród naszego duchowieństwa mogą istnieć jednostki o wybitnej wiedzy teologicznej, to pewna, **że w życiu umysłowym oświeconych laików, katolicyzm nie odgrywa niemal żadnej roli**".

Mimo równo 40 lat, jakie upływają od czasu, gdy te słowa zostały napisane, nie wiele zmieniło się na lepsze wśród ogółu inteligencji polskiej. Owszem, pogłębił się katolicyzm, który znakomity pisarz nazywa nie zbyt szczęśliwie „katolicyzmem maluczkich", ale katolicyzm inteligencji to w dalszym ciągu stojące wody gnuśności umysłowej, zarosłe niewiedzą, gorzej jeszcze: niewiedzą, która nawet tego nie wie, że jest niewiedzą. „**Życie religijne inteligencji polskiej jest we mgle**", jak to określił przed kilkunastu laty ś. p. O. Jacek Woroniecki.

Wiele jest przyczyn naszego zapuszczenia umysłowego i braku ambicji w dziedzinie wiedzy religijnej, lecz nie o tym w tej chwili mowa. Wele jest tego oznak i sprawdzianów. Jeden jest szczególnie powszechny:

Skutkiem braku podstawowego wykształcenia filozoficznego i religijnego nie potrafimy wysłuchać referatu na temat religijny, nie umiemy wysłuchać kazania ze zrozumieniem, nie możemy czytać już nie poważniejszej lektury, ale nawet jakiego takiego artykułu z tej dziedziny. Podstawowe pojęcia teologiczne stały się dla nas „przenośniami", nadprzyrodzoność „symbolem", „symboliką", **prawdy wiary** nudną „poezją", „pustką retoryką", „pobożnym frazesem" a perykopy i przytoczenia z Pisma św. — „brakiem oryginalności", „ucieczką w bezmyślność", „katarynką"... W najlepszym wypadku słucha się w pokornym znudzeniu „wciąż tego samego", co ksiądz mówi z ambony czy od ołtarza, bo on przecież **musi** tak mówić. Od tego jest księdzem...

Jednym z najcięższych grzechów religijności inteligencji polskiej jest przerażający zanik „zmysłu" nadprzyrodzoności. Jest to, żeby użyć starego określenia: polski „grzech rodzajny", grzech rodzący wszystkie inne.

Zanik „poczucia nadprzyrodzoności", zanik świadomości, że gdy mowa o Stworzeniu, grzechu pierworodnym, Wcieleniu, Odkupieniu, Zmartwychwstaniu, Kościele, Łasce, sakramentach, udziale człowieka w życiu wewnętrznym Trójcy św. — nie są to „przenośnie" ani „symbole", lecz nieograniona, niepojęta rzeczywistość: zanik ten odziera religię i Kościół z tej istotnej treści, którą wyrażają i do której dźwigają ludzkość. Stajemy tu wobec tak niezmierzonego oceanu bytu, tak konkretnych i tak przejmująco realnych stosunków, że nasze własne istnienie, istnienie świata dostrzeganego wokół nas, jest zaledwie grą cieniów cienia wobec tej Jedynej Rzeczywistości z której „pełności wszyscyśmy wzięli, i łaskę po łasce".

NATURALISTYCZNE POJMOWANIE RELIGII I KOŚCIOŁA

Jesteśmy tu nie wobec „poezji" i „przenośni", nie wobec „symbolu" i „iracjonalności", lecz wobec konkretnej rzeczywistości, nie wobec ciemności, lecz przed oślepiającą jasnością, w obliczu takiego natężenia światła, że umysł nasz, związany z ciałem, nie poznaje go wprost, bezpośrednio, lecz pośrednio, drogą abstrakcji z danych zmysłowych, główne pojęcia kształtuje sobie nie jednoznacznie lecz analogicznie. Są to Tajemnice, niepojęte dla niedostatku naszego umysłu ale nie absurdy, **ponadrozumowe** ale nie przeciwrozumowe, oślepiające przez nadmiar światła a nie przez brak.

Zanik „zmysłu" Tajemnicy-Światła, zanik poczucia nadprzyrodzoności jest jedną z istotnych cech umysłowości Zachodu, która uboży człowieka o całą nieskończoność. Tej inwazji naturalizmu dokonał humanizm, wykształcił racjonalizm wieku 18, a rozwinął pozytywizm i materializm 19 i 20 wieku, jednak swymi początkami herezja naturalizmu sięga 4 i 5 stulecia, pelagianizmu. „Ziemia wystarcza" oto skrót tego światopoglądu, który dziś po tej i tamtej stronie kurtyny zbiera swe owoce. — Jeden z głównych zarzutów chrześcijańskiego Wschodu przeciw Zachodowi wskazuje właśnie na tę zatratę poczucia Tajemnicy.

Z mnóstwa przykładów absurdu, do jakiego dochodzi myśl ludzka gdy zatraci pojęcie nadprzyrodzoności, wystarczy wskazać na stanowisko Benedetto Croce'go. Chodzi o jego rozprawę sprzed 7 lat w „Critica" p.t. **Dlaczego nie możemy nie nazywać się chrześcijanami**" (Perchè non possiano non dirci „cristiani"?)

Croce dowodzi że w procesie duchowym nie ma miejsca na religię, gdyż nie odpowiada żadnym istotnym momentom życia duchowego. Ponieważ filozof ten wykluczał, aby chrześcijaństwo było faktem nadprzyrodzonym, utrzymuje także, że nie jest prawdą wieczyście utwierdzoną, lecz jedynie prawdą, podlegającą przemianom i wzrostowi. To też „za faktycznych kontynuatorów religijnego dzieła chrześcijaństwa należy uważać tych, którzy wychodząc z jego pojęć i uzupełniając je swą krytyką oraz dalszym badaniem, dokonali prawdziwego postępu w myśli i życiu". „A więc — pisze M. F. Sciacca(**La filosofia, oggi; str. 460**), za którym cytuję — byli chrześcijanami ludzie humanizmu i Odrodzenia, reformacji; Vico, Kant, Hegel; z tego punktu widzenia natomiast nie są chrześcijanami św. Anzelm, św. Bonawentura, św. Tomasz, Rosmini, etc."! Zaiste, trudno o większą niedorzeczność!

NASZ „POBOŻNY" SŁOWNICZEK

Ten czysto naturalistyczny stosunek do religii i Kościoła, bardzo wśród nas rozpowszechniony, nawet gdy uznaje chrześcijaństwo i Kościół, zgadza się widzieć w religii siłę społeczną, kulturalną i „duchową" której zasady, oczywiście w dowolnym wyborze, w ocenzurowanych wypisach mogą oddać dobre usługi narodowi i państwu; w Kościele zaś karną organizację, mogącą pod niejednym „służyć jako wzór", zwartą instytucję, która wprawdzie „spóźnia się zawsze o jedno pokolenie", oparta jest o „ślepe posłuszeństwo" i „surowe dogmaty" (po cichu mówiąc: „niektóre już dobrze przestarzałe"), ale przez swe rygory i sankcje jest „stróżem ładu i porządku", „spójnią narodową". Kościołowi należy się szczery sentyment, jest bowiem „organicznym, odwiecznym i istotnym składnikiem tradycji zarówno polskiej jak i europejskiej", „zrósł się z naszymi dziejami treścią tchnącą z głębin narodowego ducha", „uczynił z Polski raz na zawsze kraj Zachodu", „łączy nas organicznie z Europą"...

Na całą zaś resztę, na istotną treść nadprzyrodzoną religii i Kościoła, jeśli się w ogóle o nią potrąca, zostają już tylko takie namaszczone zwroty jak „najgłębsze pokłady ducha" „krzesące iracjonalny heroizm", „uskrzydlające najwznioślejsze uczucia ludzkości", „mistyczne napięcia i wzloty uczuciowe" „zespół najbardziej twórczych uczuć"..

Oto w pewnym skrócie słowniczek wyrazów i określeń niektórych naszych publicystów, pisarzy, polityków i mężów stanu, którzy sami nie raz niewierzący, najczęściej zaś nie wiedzący w co wierzą, uważali i uważają jednak w pewnych okolicznościach za bardzo wskazane deklarować swój stosunek do „chrześcijaństwa". Do „chrześcijaństwa", raczej, niż do katolicyzmu, (a już zwłaszcza religii), bo to nie tak „ciasne" pojęcie, to też jakoś lepiej brzmi i jest tak efektowne jako przeciwstawienie do „barbarzyńskiego wschodniego materializmu i azjatyckiego niewolnictwa, panującego za żelazną kurtyną"...

Katolik powie tu: Dzięki i za to. Ale to za mało. Pomijając nawet jawne błędy — za mało o całą nieskończoność!

Jan Tokarski

NOTATNIK

„LABOUR PARTY"

Na wielkim zjeździe członków tego stronnictwa minister Morrison wygłosił znamienną mowę, którą charakteryzuje walkę jaka się w przyszłym roku stoczy o władze. „Następne wybory, mówił Morrison będą walką o nasze życie, o nowy okres władzy. Nie było jeszcze w historii „Labour Party" wyborów w tym stopniu ważnych. Wygrajcie te wybory a zdobędziecie coś większego nawet niż zwycięstwo 1945 roku. Wygrać to jedno tylko a reszta już pójdzie gładko. Jeśli przegramy, to może zaistnieć niebezpieczeństwo cofnięcia się".

...„Doktryna konserwatystów, wspomniał Morrison, wychodzi z założenia, że człowiek jest z natury swej stworzeniem słabym i nigdy nim być nie przestanie. Ta doktryna jest niczym innym, jak filozofią rozpaczy, która nie powinna mieć zastosowania w kraju ludzi o naszym charakterze". Jakgdyby w odpowiedzi na to twierdzenie p. Reynolds pochodzący z Hull zauważył: „Z tą nacjonalizacją to w wielu wypadkach źle się dzieje. Wysokie pobory członków zarządu wywołują często dużo złej krwi. O zdobycie stanowisk w tych zarządach staczane są walki między pracodawcami a trade-unionami. Stanowiska dostają się emerytowanym funkcjonariuszom związków robotniczych. Pomimo hasła — „stanowiska dla naszych chłopców" w praktyce widzimy co innego — stanowiska dla ich dziadków.

P. R. Shaw z Nottingham uzyskał huczne oklaski, gdy powiedział, że Rząd nie traktuje sprawiedliwie kolejarzy. „Gdyby robotnicy, mówił, kontrolowali zarządy kolei nie mielibyśmy obecnego strajku". Ale, gdy zachęcony oklaskami ciągnął dalej twierdząc „że od czasu upaństwowienia kolei wszystko się na kolejach popsuło" wywołało to zrozumiałą konsternację a następnie drwiny.

...Mówiąc o sektorze prywatnym w gospodarce narodowej, minister Morrison wprowadził słuchaczy w dobry humor powiadając: „Musimy słuchać rady p. Churchilla, iż sektor ten musi być wolny". Brytyjski przemysł prywatny jest obecnie w takiej zależności od monopoli, trustów, karteli i umów co do cen, że udaremnia ona jego rozwój, hamując właściwie pojętego potężnego ducha prywatnej przedsiębiorczości. Zdecydowaliśmy więc że zachodzi konieczność wybawienia go z tej opresji".

Dokończenie na str. 6.

W. A. ZBYSZEWSKI

PINAKOTEKA MONACHIJSKA



Piotr Paweł Rubens: Krajobraz i krowy

„C'est un phare allumé sur mille eitadelles''
Fleurs du Mal VI.

„To latarnia rozświetlająca tysiączne cytadele“: w tym wierszu genjalnie ujął istotę i rolę malarstwa Baudelaire, ten jeśli nie największy to najgłębszy poeta XIX w. Cytadele duszy ludzkiej — to znaczy jej tajemnice. Bez malarstwa, tak jak bez literatury, nic nie wiedzielibyśmy o człowieku i świecie, nawet gdyby nasza wiedza przyrodnicza i psychoanaliza były tysiąckroć bardziej rozwinięte niż obecnie.

Pinakoteka monachijska, która obecnie wystawiona jest w National Gallery (Trafalgar Square S.W. 1.), choć nie dorównuje Luwrowi, Prado, Pinakotece Watykańskiej i florenckim Uffiziom, należy bezsprzecznie do pierwszej dziesiątki wielkich galerii malarskich globu. Dla nas Polaków, ma o tyle szczególne znaczenie, że pierwsza generacja naszych malarzy, mniej więcej po roku 1900 studiowała nad Isarem: Matejko, Siemiradzki, Brandt, starszy Kossak, Chełmoński etc. Braki galerii monachijskich zaważyły na ich twórczości. W tej pinakotece prawie wcale nie jest reprezentowane włoskie quatro cento, ten niedościgniony i najbardziej dotychczas uroczy wiek malarstwa; przeważają dzieła cięższe, nawet ponure — Niemcy przede wszystkiem, ale i Rembrandt w melancholijnej fazie, i Tycjan bogaty ale bez poezji, i holendrzy z flamandami z ich twardym realizmem.

Do 1939 r. wyjazd całej galerii był rzeczą nieznaną. Czasem wysyłano jeden obraz, niekiedy dwa na prowincję, jeszcze rzadziej zagranicę — i to było już sensacją, ale dopiero po wojnie galerie zamieniły się w globtrotterów; monachijska była już w Bruxelli, Nowym Yorku i Paryżu. Zbawienna to innowacja: pozwala ubogim odbywać dalekie podróże, pozwala nadto porównując przybyszów z miejscowymi arcydziełami wyrobić sobie większy smak, na świeżo porównywać wrażenia, jaśniej zrozumieć walory mistrzów czy szkół.

Siedząc w Londynie musimy naturalnie przyjąć za podstawę tych porównań National Gallery; i tu odrazu trzeba przyznać, że Moachium jej nie dorównuje. Przede wszystkiem Pinakoteka jest mniej „katolicka“, mniej powszechna; nie posiada wcale szkoły angielskiej (nie wielka szkoda) i nic prawie z włoskiego Quatrocento (katastrofa!): i tak nie posiada ani Piero della Francesca, ani Ucello, ani Verocchio i t. d. Natomiast jest bogatsza od National Gallery jeśli chodzi o szkołę niemiecką, dorównuje jej jeśli chodzi o wczesnych flamandów, ma lepsze Tycjany i bodaj że lepsze Rubensy.

Nie sposób omówić wszystkiego. Jeśli w Wiedeńskiej Galerii, którą szczęśliwie mozemy też oglądać, zadanie recenzenta jest łatwe, bo Velasquezy, 4 Rembrandty i Madonna Lorenzo Lotto tak nieprawdopodobnie górują nad resztą, że chwili nawet nie można wahać się, które arcydzieła zalecić w pierwszym rzędzie, to w Pinakotece Monachijskiej poziom jest bardziej wyrównany, można długo się sprzeczać, które płótna na szczególną zasługują uwagę.

Ba, gdyby Leonardo da Vinci był autentyczny! Jak Baudelaire cudownie o nim pisał:

Leonardo da Vinci, miroir profond
et sombre,
Ou des anges charmants, avec un
doux souris
Tout chargé de mystère ......“

Ale właśnie w monachijskiej Madonnie tego rzekomego Leonarda nie ma tych złotawych aniołów o metafizycznym uśmiechu. Niema tego nastroju zadumy i wieczności, który w prawdziwych Leonardach dostarcza tylu niezapomnianych widzowi rozkoszy. Sądzę, że monachijska Madonna jest dziełem ucznia, pięknym naturalnie, ale nie umywającym się do autentycznych arcydzieł mistrza, które można podziwiać tylko w Luwrze (bo „Ostatnią Wieczerzę“ w Mediolanie definitywnie zniszczyły bomby alianckie).

Drugim kandydatem na superarcydzieło mogłaby być „Święta Rodzina“ Rafaela. Rafael wydaje się jednak dzisiejszemu pokoleniu mdły. Nie jest to może pogląd zupełnie słuszny, i kto nie widział Rafaelów rzymskich powinien się wstrzymać z wyrażaniem krytyki. Ale faktem jest, że prawie wszystkie Rafaele w krajach nie-włoskich (z wyjątkiem może dwuch portretów w Luwrze) sprawiają wrażenie czegoś cukierkowatego, bez zapachu i smaku. Sekret ten zapewne polegał na tym, że Rafael doznał nieprawdopodobnego powodzenia za życia; i w rezultacie, podobnie jak Rubens, musiał w coraz większej mierze korzystać z pomocy uczniów, którzy wypełniali szkice na prędce rzucone przez mistrza. Dotyczyło to zwłaszcza obrazów religijnych, które u Rafaela zamawiały niemal wszystkie kościoły i klasztory. Przypuszczam, że monachijska „Święta Rodzina“ należy właśnie do kategorii dzieł tylko czściowo wykonanych przez Rafaela — stąd jej koloryt blady, brak wyrazu w postaciach.

Podobna dyskusja toczy się już od stu lat dookoła Botticelli'ego. Dół jego wielkiej Piety — postać Chrystusa i dwuch klęczących kobiet — ma wszystkie znamiona geniuszu tego najbardziej arystokratycznego malarza świata, dekadentyzmu jego angelicznego rysunku, ale trudno mi uwierzyć, że nieproporcjonalnie wielkie, ciężkie i niezgrabne postacie świętych, które wypełniają górną część tego płótna, wyszły spod pędzla tego wielkiego florentczyka. To samo powiedziałbym o Ghirlandaio, nauczycielu Michała Anioła, którego rzekomy ołtarz jest przeładowany, powiedziałbym wręcz nieprzyjemny. Wydaje mi się, że w obu wypadkach mamy do czynienia z dziełami uczniów, nie samych mistrzów, względnie tylko autentycznymi. Natomiast autentyczność dwuch Madonn, Signo Velli'ego i Fra Lippi nie jest kwestionowana, ale żadna z nich nie daje dokładnego pojęcia o geniuszu obu tych wielkich artystów.

Rembrandt, który może jest największym malarzem wszystkich czasów, (o ile ten epitet wogóle coś znaczy) jest reprezentowany w Pinakotece tylko cyklem obrazów przedstawiających Mękę Pańską, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie. Są one z bardzo wczesnego okresu, gdy talent wielkiego Holendra doszedł do pełnego geniuszu właśnie w ostatniej dekadzie jego życia. Ponadto obrazy religijne Rembrandta nie należą z reguły do jego najlepszych — może dlatego, że był on zanadto przeżarty racjonalizmem; w każdym razie robią one na mnie wrażenie zimnych. Rembrandt — to zawsze i przede wszystkiem portret. Jeśli chodzi o amsterdamskiego mistrza, to National Gallery jest bez porównania bogatsze choć wiedeńska bije ją jakością.

W nie-włoskich galeriach Tycjan i Rubens (a także uczeń Rubensa Van Dyck, zresztą bardzo przereklamowana miernota) są zawsze znacznie lepiej reprezentowani od wczesnego Renesansu. Do 1500 r. renomy były czysto lokalne, w każdym razie poza Włochy nie wychodziły; zaś Tycjan już i tembardziej Rubens pracowali w czasach, gdy istniał naprawdę międzynarodowy rynek na obrazy — stąd płótna ich można znaleźć w całej Europie. Pinakoteka przywiozła do Londynu tylko 3 Tycjany, ale każdy jest zupełnym arcydziełem, o wiele głów bijącym londyńską kolekcję, dość ubogą w dzieła tego wspaniałego malarza. Portret młodego człowieka uderzająco przypomina słynny „L'homme au gant“ w Luwrze, Madonna jest czysto pogańska, jak cały zresztą Tycjan, to dziecko antyku, ale w uśmiechu i kolorycie przepiękna jakąś słoneczną radością, wreszcie niedokończony portret Karola V, ma jakiś patos i historyczną patynę, które kto wie czy nie biją głośniejsze Tycjanowskie portrety tegoż monarchy w madryckim Prado. Te 3 Tycjany — to moze najpierwsze perły zbiorów Wittelsbachów.

A teraz Rubens? Czyż można lepiej ująć jego twórczość, niż to uczynił Baudelaire w tymże wierszu, który jest nie tylko wielką poezją ale i najdoskonalszą krytyką artystyczną, jaką wydał świat? —

Rubens, fleuve d'oubli, jardin de
la paresse,
Oreiller de chair fraiche ou l'on ne
peut aimer,
Mais ou la vie afflue et s'agite
sans cesse,
Comme l'air dans le ciel et la mer
dans la mer.

Tak, Rubens to ruch, to niesłychana witalność, to trochę jakby Churchill malarstwa — obaj mają impet, łatwość, temperament, żywotność, obaj szalenie „widoczni“ — ale głębi, zamyślenia, słowem wielkiej duszy obu im brak. Rubens ma wszystkie pozory genjalnego malarza, ale geniuszem nie jest. Niesłychanie zdolny, frapujący, charakterystyczny — ale nie genjusz. Tym niemniej bawarskie Rubensy należą do najlepszych, jakie gdziekolwiek widziałem, a w każdym razie biją i londyńskie, a zapewne i wiedeńskie. Może najlepszym jest portret jego drugiej żony Heleny Fourment, z dzieckiem; piękna Helena niema nieprzyjemnie wybrylantowanej ostrości tak typowej w jej londyńskich portretach, lecz jakby wenecką słodycz połączoną z flamandzką pulchnością i dobrocią. Obok Tycjanów to może drugi szczytowy obraz Pinakoteki.

Jedyny El Greco jest pierwszorzędny, lepszy od obu, które zdobią National Gallery. Nie mogę jednak powstrzymać się od uwagi, że El Greco stanowczo nie dorasta ani do Velasqueza, ani do Goyi, którzy pozostają na zawsze królami szkoły hiszpańskiej. Murillo znajduje się oczywiście na niższej jeszcze kondygnacji, ale jego dwa obrazy sewilskich uliczników są pełne wdzięku i południowego słońca.

Goya jest reprezentowany tylko przez cztery szkice, wszystkie z ostatnich lat jego życia, gdy głuchy starzec coraz bliższym był obłędu. Ale co za szkice! Obok jego słynnej „Casa de Los Locos“, którą można podziwiać w Museo San Fernando w Madrycie, należą do najbardziej wstrząsających: i cały impresjonizm francuski się z tych właśnie jego rysunków wywodzi.

Znowu zacytuję Baudelaire'a:

„Goya, cauchemar plein de choses
inconnues“...
„Goya, ten koszmar pełen rzeczy
nieznanych“...

Zwłaszcza jego „Kazanie mnicha“ jest niezapomniane. Twarzy prawie



Esteban Murillo: Chłopcy jedzący winogrona i melon

nie widać, ale w tych paru kreskach, które może namalował w kwandrans, wielki Goya zaklął sekret Hiszpanji, jej fanatyzmu, jej religii posępnej; katolicyzm hiszpański — to nie wiara w nieograniczone Miłosierdzie Boskie, jak w Polsce, lecz oczekiwanie Sądu, to Kościół Karzący. Czuję, że tego maleńkiego obrazku nigdy nie zapomnę, i chciałbym, by każdy Polak spędził przed nim długie godziny.

Wreszcie wartoby więcej uwagi poświęcić Niemcom tak bogato reprezentowanym: Dürer, Lochner (tak niderlandzki), Baldung (bardzo dobry), Altdorfer (słabszy), Amberger (dobry portrecista), Cranach (znakomity, choć strasznie nieprzyjemny), wreszcie pełen uroku nieznany z nazwiska „mistrz ołtarza św. Bartłomieja". Tak. to jest niewątpliwie szkoła, w zasadzie zbliżona do wczesnych flamandów, ale brutalniejsza; pod tym względem „Biczowanie Chrystusa" Grünewalda jest znamienne: obok Dürerowskiej „Massakry chrześcijan w Persji" to takie obrazki z Oświęcimia avant la lettre. Bardzo ciekawe — to rozmiłowanie w brzydocie, w grozie, w okrucieństwie, ale nie powabne. Bez entuzjazmu stwierdzam, że niektórzy z tych Niemców (Kulmbach naprzykład) pracowali dla Jagiellonów na Wawelskim dworze.

Nie można tematu wyczerpać — 121 wiekich, pamiętnych obrazów — w krótkim artykule. A przytem żadne artykuły nie zastąpią wrażeń wizualnych. By znać się na malarstwie trzeba oglądać, oglądać i jeszcze raz oglądać: na monachijskiej wystawie byłem już 7 razy, i dopiero teraz zaczynam się w niej trochę orientować.

A wogóle malarstwo jest może najwyższą formą sztuki, a przez to i największym hołdem złożonym Stwórcy. Zakończę jeszcze jedną cytatą z Baudelaire'a, zwrotką, w której powiada o malarstwie:

„Car c'est vraiment, Seigneur, le meilleur témoignage
Que nous puissions donner de notre dignité
Que cet ardent sanglot qui roule d'age en age
Et vient mourir au bord de votre eternité."

(Dobrego tłumaczenia polskiego „Fleurs du mal" niema. Znaczenie tego cudownego wiersza prozaicznie oddane brzmi: „Bo to (malarstwo), o Panie jest najlepszym świadectwem, które możemy dać naszej godności ludzkiej, ten namiętny szloch, który rozlega się z wieku w wiek i przychodzi zamrzeć u progu Twej nieśmiertelności").

W. A. Zbyszewski



El Greco: *Jezus z szat obnażany*

TYMON TERLECKI

MELPOMENA NA WYGNANIU)*

ZASIANE ZIARNA

Teatr emigracyjny, widziany w perspektywie kilku minionych i kilku najbliższych miesięcy, przedstawia obraz ciemny i niepokojący. Za nami jest wiele karygodnych zaniedbań, wiele przewinień, które się mszczą ciągle. Przed nami — niepewność jutra, napewno niepaniczny lęk, że to wszystko może runąć lub stoczyć się po równi pochyłej.

Ale w dniu dzisiejszym, który dźwiga na barkach te obciążenia i nosi w sobie groźne zarodki — są rzeczywiste wartości, są osiągnięcia godne szacunku i podziwu, są możliwości naprawdę obiecujące. Mimo błędnego załatwienia, lub ściślej: całkowitego niezałatwienia sprawy organizacji — teatr uzasadnił ponad wszelką wątpliwość sens swego bytu i rzeczywistą możliwość bytu.

W kontraście z poprzednim i następnym ten artykuł skupi światło na tych punktach.

COŚ CZEGO NIE BYŁO

Gdy latem 1947 r. Teatr II-go Korpusu przedstawiał w londyńskiej „Skali" swój wojenny dorobek, zażądano ode mnie, abym do okolicznościowego wydawnictwa napisał artykuł p.t. „Teatr na emigracji". Jedno z pytań, na które w tym szkicu próbowałem odpowiedzieć, brzmiało: czy teatr na emigracji jest możliwy? „Nie łatwo mówić — stwierdzałem wtedy — o możliwości istnienia czegoś, co się zdarza po raz pierwszy i czegoś co zależy od jeszcze nieukształtowanego układu życia".

Pytanie: czy teatr na emigracji jest możliwy? — dzisiaj przestało być pytaniem teoretycznym. Odpowiedź na to pytanie przestała być przypuszczeniem, domysłem, pobożnym życzeniem. Teatr polskiej emigracji politycznej jest już faktem rzeczywistym, konkretnym, doświadczalnie sprawdzonym.

Nasza emigracja, emigracja 1945 r., piąta, szósta z rzędu, jeśli liczyć osobno emigrację sprzed równo stu lat, z 1848-49 r., jest pierwszą, która zdobyła się na tę formę organizacji, działania i walki. Napewno nie dorównujemy i nie dorównamy poprzednim emigracjom pod niejednym względem, ale teatr stanowi coś, co jest właściwe tylko emigracji naszego czasu.

Wśród emigracji innych narodów przedstawia on również „unicum", rzecz jedyną w swoim rodzaju. „Biała" emigracja rosyjska, podejmowała przedsięwzięcia teatralne, historycznie nawet niepozbawione znaczenia, ale zupełnie innego rodzaju. Były one przeznaczone „na wywóz", nie „na spożycie wewnętrzne", miały charakter warsztatu zarobkowego, nie instrumentu walki. Emigracja niemiecka i austriacka w Londynie posiadała i bodaj jeszcze posiada teatr kameralny, amatorski lub półamatorski.

Nie wiem, czy kiedykolwiek istniał i czy w tej chwili gdziekolwiek istnieje teatr emigracyjny, zawodowy teatr działający poza własną ziemią o takim charakterze i zasięgu.

TEATR SZAREGO CZŁOWIEKA

To co go odróżnia od nielicznych przedsięwzięć podobnych, co mu nadaje znamię czegoś niebywałego i czegoś społecznie ważkiego, to — jego zakrój demokratyczny, jego masowość.

Nie jest to oczywiście wyłącznie zasługą teatru, ale także szczególnych okoliczności. Przede wszystkim genetycznego związku z wojskiem i z nowoczesną wojskową obsługą oświatową. W dalszej mierze faktu, że i na tej wyspie teatr poprzez wojnę społecznie się upotrzebnił, zdemokratyzował w skali nie dającej się porównać z okresem przedwojennym.

Ale nie da się zaprzeczyć i trzeba mu to zapisać na jego dobro, że polski teatr na emigracji podtrzymał rozbudzoną potrzebę, że ją zaspakaja, że wychowuje masową publiczność teatralną, wytwarza nawyk chodzenia na widowiska sceniczne. Odrodził on bardzo pierwotną tradycję teatru wędrownego, teatru, który szuka widza, niesie z miejsca na miejsce dobrą nowinę. Ta tradycja ma jedną z najbardziej wzruszających i prawdziwie symbolicznych kart w historii wędrówek „pierwszej sceny polskiej", prowadzonej przez Wojciecha Bogusławskiego. W początkowym, najcięższym okresie po rozbiorach jego szlak wędrowny objął całą Polskę: i Lwów, i Wilno, i Poznań i dziesiątki, setki miast, był pierwszym i może jednym z najważniejszych aktów odbudowywania duchowej jedności Polski.

Sam jeden Teatr Dramatyczny od chwili przejścia na status cywilny, od sierpnia ub. roku do końca marca bież. roku przejechał blisko 37 tys. mil angielskich pomiędzy ośrodkami polskimi w W. Brytanii: hostelami, szpitalami, obozami wojskowymi. Dał w tym czasie 416 przedstawień, które oglądało 68.500 widzów.

Obok tego teatru, wywodzącego się w prostej linii z Teatru II-go Korpusu działało w ostatnich miesiącach jeszcze sześć, siedem innych zespołów. Wszystkie razem dawały około 150 przedstawień miesięcznie. Każde z nich ściągało co najmniej 100 widzów, co jest przeciętną przyjętą bardzo skromnie i ostrożnie. Można więc w grubym przybliżeniu i uproszczeniu statystycznym powiedzieć, że przeciętnie niemal każdy emigrant polski ogląda co miesiąc jedno polskie widowisko teatralne.

W praktyce życiowej nie wygląda to tak prosto i pomyślnie. Są środowiska obojętne, oporne wobec teatru **(pierwsze miejsce niestety trzyma wśród nich polski Londyn)**, są skupienia zbyt małe, aby zapewnić minimalną opłacalność imprezy, są grupy bierne i nieudolne, aby zorganizować sprowadzenie teatru, są Polacy przemieszani w hostelach wielonarodowych, są na koniec jednostki osamotnione, odstrzelone, pogubione w przestrzeni obcości.

Podjąwszy systematyczne uporządkowanie sprawy teatru emigracyjnego, na niejeden z tych braków można by znaleźć radę. Można by tę cyfrowo prawdziwą, ale nieścisłą faktycznie, proporcję statystyczną: jedno przedstawienie miesięcznie na każdego Polaka — uczynić czymś dosłownym.

WIĘŹ ZE ŚWIATŁA

To, co jest, musi być ocenione dodatnio także na tle szerszej i najbardziej istotnej sprawy: utrzymania łączności w masie emigranckiej, która jest skazana na życie i zarobkowanie w obcym kraju i w ciężkich warunkach materialnych.

Zdaje się, że nie będzie zbyt wielkiej przesady, jeśli się stwierdzi, iż teatr wysunął się tutaj na miejsce pierwsze — także przed prasą. Pisma krępowane do niedawna przepisami, ograniczającymi zużycie papieru, nie spełniły w pierwszym okresie zadania, które z natury rzeczy im przypadło. Działały także inne względy dość zwyczajne — nieudolność aparatów administracyjnych, niemożność uporania się z migracją ludzi po obozach i hostelach, ogarnięcia jakąś siecią rzeszy ludzkiej, zwolnionej z sieci organizacyjnej wojska. Działały względy przejściowe, ale ważące: zaprzątnięcie człowieka procesem przystosowywania się do środowiska obcego, walką o byt, budowaniem nowej egzystencji. Działały wreszcie okoliczności głębsze: nastrój poklęskowy, kryzys zaufania do słowa, do utartej formy wyrażania poglądów i określenia zjawisk.

W tym stanie rzeczy teatr zastąpił niemal wszystkie inne środki duchowej łączności, stworzył więź — więź ze światła, z dźwięku, z ruchu obrazów, z wzruszeń zbiorowych, więź niewidoczną, ale najłatwiej, najbardziej niechybnie zagarniającą człowieka w swój uchwyt.

SŁOWO WYJĘTE Z SERCA

Stało się to możliwe nie tylko przez sam fakt istnienia teatru, ale przez zrozumienie podstawowej prawdy: scena musi mówić językiem, który formułuje instynktowne uczucia widowni, musi świecić światłem, które przeniknie przez tak a nie inaczej ustawiony w tym momencie pryzmat wrażliwości widza. Stało się to możliwe przez — własny repertuar.

Jeszcze rok, dwa lata temu, wydawał się on czymś, co jest poza zasięgiem marzenia. I dziś trudno mówić o pełnym zaspokojeniu popytu. Ale rzecz jest zaczęta prawidłowo i pomyślnie: przez porozumienie między teatrem a literaturą, przez zgłoszenie potrzeby i odpowiedź na żądanie. W tej chwili sprawa leży w rękach pisarzy: każda sztuka licząca się z potrzebami scen emigracyjnych i z ich technicznymi, dość ograniczonymi, możliwościami ma pełną szansę wyjścia na światło.

Jest to wielka zasługa Polskiego Teatru Dramatycznego i jego kierownika Leopolda Kielanowskiego, że pierwszy zrozumiał wagę tej sprawy i pierwszy wystąpił ze świadomą inicjatywą. Dzięki niej komedia Budzyńskiego „Displaced Person" uratowała teatr od zagłady, gdy minionej jesieni zawisnął w próżni, gdy pozostawiony sam sobie, musiał również sam rozstrzygnąć pytanie: być albo nie być? a jeśli być, to — jak? Ta sztuka dająca żywy, choć niegłęboki obraz rzeczywistości, wyzwalająca śmiechem mniejsze i większe urazy, a jednocześnie dyskretnie naprowadzająca na najprostsze wskazania życia zbiorowego — okazała się tym, czego potrzeba. Osiągnęła ponad sto przedstawień.

„Świadek" Orwida-Bulicza — mimo całkowitej niedojrzałości artystycznej — wskazał na drugi rodzaj potrzebny w tej chwili: rodzaj sztuki walczącej, o wyraźnym ostrzu politycznym.

Oczywiście jest jednakim błędem przeceniać tę twórczość, jak jej nie doceniać. Repertuar, odkąd teatr teatrem, składał się ze sztuk użytkowych, służących potrzebom chwili i środowiska, w mniejszym stopniu ze sztuk, które spełniając te zadania, przeżywały swój czas, zostawały w skarbcu kultury na trwałe. Kto dziś, poza specjalistami, nawet z ludzi wykształconych potrafi wymienić jedno, lub więcej niż jedno nazwisko z wielkiej szkoły pomolierowskiej? Kto dziś pamięta „drammy" i „tramelogedie" owe „Lanassy" i „Izkahary", wzruszające do łez widzów teatru Wojciecha Bogusławskiego i jego przemysłem odmieniane w sztuki kryptopatriotyczne? Ale „Krakowiacy i górale", pierwszy polski dramat mas, związany bezpośrednio z powstaniem kościuszkowskim — pozostał w naszej literaturze i w naszym teatrze na zawsze.

To jest właśnie osobliwa dialektyka teatru, że tworzy się w nim rzeczy wiecznotrwałe, arcydzieła, jakby mimo woli, jakby na marginesie służby swemu czasowi i zbiorowości, do której się należy. Oczywiście

dokończenie na stronie 8

*) Por. pierwszy artykuł cyklu: „Lato bez żniw", druk w nr. 26/105 „Życia".

JÓZEF JASNOWSKI

CHOPIN W

W LIPCU 1837 zjawił się na bruku londyńskim Camille Pleyel muzyk i kompozytor francuski a równocześnie spadkobierca wielkiej wtwórni fartepianów w Paryżu. Interesy tej wytwórni były, jak się zdaje, głównym powodem jego podróży do Londynu; one też zawiodły go do Broadwooda, właściciela fabryki instrumentów muzycznych a fortepianów w szczególności.

Ów James Broadwood, po załatwieniu interesów, zaprosił Pleyel'a do swego domu na kolację, by go przedstawić rodzinie jako muzyka i jako współzawodnika w dziedzinie produkcji fortepianów. Francuz przyjął zaproszenie i przybył o umówionej porze w towarzystwie młodego człowieka, którego przedstawił jako swego przyjaciela, nazwiskiem Monsieur Fritz. Rodzina Brodwooda była bardzo muzykalna. To też gdy Pleyel wyjawił, że Monsieur Fritz jest doskonałym muzykiem, poproszono go po kolacji, by zagrał coś, według własnego uznania. Młody artysta zasiadł do fortepianu i zagrał kilka własnych kompozycji.

Wrażenie było nadzwyczajne; słuchacze byli oczarowani nie tylko utworami, ale jeszcze więcej ich oryginalnym i niezwykle subtelnym wykonaniem. Pleyel ujawnił wówczas, że młody muzyk jest Polakiem, ma już ustaloną sławę jako wirtuoz i kompozytor i nazywa się Fryderyk Franciszek Chopin.

Muzyczny świat ówczesnego Londynu był niewielki — to też echa tego nieoczekiwanego koncertu rozeszły się szybko i wzbudziły powszechne zainteresowanie. Dziwiono się tylko, dlaczego Chopin bawił tak krótko i w dodatku incognito (od 11 do 22 lipca). Jego chorobliwy, jak zawsze, wygląd nasuwał przypuszczenie, że przybył specjalnie do Londynu dla zasiągnięcia porady lekarskiej.

W istocie sprawa miała się nieco inaczej. Chopin zamieszkał z Pleyelem w jednym z najlepszych hoteli londyńskich i spędzał wesoło czas bądź to w jego towarzystwie bądź też w towarzystwie swego znajomego, z dawnych lat, poety Stanisława Koźmiana, który przebywał w Londynie jako emigrant. Ten tryb życia wskazuje, że Chopin nie musiał przybyć do Londynu jako pacjent.

Jego utwory, znane już powszechnie na kontynencie, zaczęły docierać również do Anglii. To też ruchliwa i przedsiębiorcza firma Wessel and Co (wydawnictwo nut) postanowiła nabyć prawo do ich angielskiego wydania. Układy z tym związane były, należy przypuszczać, głównym powodem przyjazdu Chopina do Londynu. Jakoż w kilka miesięcy po jego powrocie do Francji, w początkach 1838, ukazał się pierwszy zeszyt zbiorowego wydania angielskiego jego utworów („Complete Collection of the Compositions of Frederic Chopin for the Piano-Forte, solo and Duet").

ADELAJDA SARTORIS

W rodzinie Broadwoodów dobrze zapamiętano nieoczekiwaną wizytę Chopina i jego piękny koncert. Nie był to jednak jedyny ośrodek, z którego rozchodził się mit o genialnym polskim muzyku.

Utalentowany aktor londyński Charles Kemble miał dwie dorodne córy, które odziedziczyły po rodzicach nie tylko ich talenty sceniczne ale i literackie. Starszą Francis Anne alias Fanny, aktorka i deklamatorka sławna w Anglii i w Ameryce, jest autorką ciekawie napisanych pamiętników oraz zbioru listów. Młodsza, Adelajda, powieściopisarka odziedziczyła w dodatku po matce piękny głos i wrażliwy słuch. Te ostatnie, kształcone umiejętnie od młodości, utorowały jej drogę do najlepszych oper w Europic

Pierwsze występy śpiewacze Adelajdy w Anglii nie miały powodzenia, gdyż młoda śpiewaczka nie mogła opanować tremy. Dopiero wyjazd za granicę (w 1837), do Niemiec i do Austrii i całkowicie obce środowisko ułatwiły opanowanie nerwowej nieśmiałości; cudowny głos i uroda dopełniły reszty, tak, że śpiewaczka zyskała sobie bardzo szybko uznanie sfer arstystycznych, związanych ze światem opery. W latach 1837-38 występowała w Pradze. Tu zainteresowała się nią wpływowa wówczas w Czechach rodzina Thunów i zaprosiła w gościnę do rodzinnego zamku w Tetschenie.

Przed dwoma laty (jesienią 1835) bawiła tam przez krótki czas, również w gościnie u Thunów pewna polska rodzina, przybyła do Czech na spotkanie swego syna, który zasłynął jako znakomity muzyk i kompozytor. Nazywał się Fryderyk Chopin. Grał u nich a nawet komponował i jedną z tych kompozycji, piękny walc (op. 34 nr. 1) zadedykował jednej z panien Thun. W Tetschenie wspominano te odwiedziny jako wielkie wydarzenie w dziejach rodu, to też Adelajda nasłuchała się wielu opowieści o nich — a że wyznaczono jej te same pokoje gościnne w zamku, w których ongi mieszkali Chopinowie, więc pole do fantazji było nie małe. Zdawało jej się, po wyjeździe z Tetschena, że nieomal zna owego Chopina osobiście.

Wiosną 1841 Miss Kemble wróciła do Londynu, by spotkać się ze starszą siostrą Fanny, która przyjechała z Ameryki po rozejściu się z mężem. W operze londyńskiej nie znano wogóle możliwości artystycznych Adelajdy i nie bardzo dowierzano wieściom idącym z Europy o jej talencie i powodzeniu. Do przełamania lodów nieufności wśród własnych rodaków dopomogli jej...... Polacy.

Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski urządzało co roku koncert pod protektoratem księżny Sutherland i w jej pałacu, przeznaczając dochody z niego na rzecz uchodźców polskich w Anglii. Do wzięcia udziału w tych koncertach zapraszano zwykle wybitnych artystów sceny i estrady londyńskiej, co przyciągało publiczność. W maju 1841 podobne zaproszenie otrzymała również i Miss Kemble.

Ów „polski koncert" był dniem prawdziwego triumfu dla Adelajdy. Prawda, że wystąpiła we wspaniałej asyście. Bawił wówczas w Londynie serdeczny przyjaciel Chopina, Fryderyk Liszt, którego również poproszono o wzięcie udziału w koncercie. Maestro, na nieszczęście, miał zwichniętą lewą rękę, więc grać nie mógł. Gdy jednak Adelajda zjawiła się na estradzie — zasiadł do fortepianu i zaakompaniował jej jedną ręką. Silny, czysty, melodyjny głos nieznanej dotychczas słuchaczom śpiewaczki wypełnił przepełnione salony ks. Sutherland i oczarował wszystkich. Śpiewała piosenkę miłosną z jednej z oper, z interpretacją tak szczerą jakby tę miłość przeżywała sama. Po tym koncercie bramy Covent Garden (opera w Londynie) stanęły dla Miss Kemble otworem.

Liszt w czasie swego pobytu w Londynie spotykał się często z Adelajdą i z Fanny. Tę ostatnią oczarował całkowicie swoją grą; Adelajda zachwycała się nią również, ale wolała słuchać jego opowieści o znakomitych muzykach europejskich, a o Chopinie w szczególności. Liszt udzielał jej wielu szczegółów o jego usposobieniu, zwyczajach, sposobie bycia a nadewszystko o jego miłości do sławnej powieściopisarki Aurory Dudevant (George Sand) ...

Po kilku występach w Londynie Adelajda wyjechała pawtórnie zagranicę w tawarzystwie siostry Fanny i Liszta. Wówczas też, jak się zdaje, w przejeździe przez Francję, spotkała się osobiście z Chopinem.Po szeregu wystąpień w operach kilku miast nadreńskich Adelajda powróciła do Londynu i zimą 1843 wyszła bogato za mąż za Edwarda Johna Sartoris, wycofując się całkowicie z opery.

Mijały lata. W kwietniu 1848 zjawił się powtórnie w Londynie, wówczas już światowej sławy mistrz, Fryderyk Chopin i zamieszkał najpierw na **10, Bentinck Street, W.1** a następnie na **48, Dover Street, W.1.** Tym razem jego przyjazd do Londynu nie był, jak w r. 1837 incognito: poprzedziła go zapowiedź w prasie paryskiej. Ponadto była to częściowo uplanowana wyprawa po złote runo (wysoko płatne koncerty) a częściowo ucieczka przed zamieszkami rewolucyjnymi w Paryżu. Jednym z pierwszych domów, gdzie nasz muzyk złożył wizytę, a bodaj czy nie pierwszy wogóle, był dom pani Sartoris.

Przyjęto go tu, jak by naprawdę był dobrym znajomym z czasów młodości. Przez owych pięć lat szczęśliwego pożycia małżeńskiego Adelajda doczekała się dwojga dzieci i bardzo, utyła. Z dawnej, wiotkiej jak trzcina śpiewaczki zostało już tylko wspomnienie oraz zawsze jeszcze piękna twarz, podobna z klasycznych rysów do greckiej kamei. W jej domu, ilekroć się tam zjawił, czuł się Chopin naprawdę dobrze. Nie napraszano się, by grał, a słuchano w skupieniu, kiedy grać zaczął. Pani Sartoris znała dobrze, z opowiadań wspólnych znajomych, usposobienie i nastroje wielkiego muzyka i umiała się do nich dostosować. To też jej dom był jedynym miejscem w Londynie gdzie Chopin miał przyjazną dla siebie atmosferę i czuł się jak w domu rodzinnym.

KONCERTY

Poza panią Sartoris Chopin znał jeszcze kilka osób z arystokracji angielskiej, z którymi spotkał się uprzednio we Francji. Miał poza tym wiele listów polecających do wpływowych osobistości i mógł rzeczywiście, gdyby umiał, wykorzystać lepiej sytuację i zgarnąć znacznie obfitszy plon swego talentu.

Układy z Philharmonic Society, które zwróciło się doń, tuż po przyjeździe do Londynu, rozbiły się z powodu nieprzejednanego stanowiska Chopina, który nie chciał się zgodzić na **uczestniczenie** w koncercie, chcąc natomiast wypełnić **całkowicie** program jednego wieczoru. Tak stawiając sprawę, uniemożliwił sobie nasz artysta osobiste zetknięcie się ze światem muzycznym ówczesnego Londynu, który by go niewątpliwie i poznał lepiej i lepiej ocenił. Pozostawały tylko koneksje arystokratyczne i koncerty po domach bogatych snobów (jak n.p. u lady Gainsborough czy też u markiza Douglas'a), też nieszczególnie płatne. Do pierwszego, zaszczytnego wystąpienia doszło dopiero w dniu 15 maja u księżny Sutherland, w jej domu w Stafford House (obecnie London Museum). Księżna piastowała od szeregu lat zaszczytne stanowisko garderobiany królowej Wiktorii i miała, z tego tytułu, szeroko rozga-

TERESA SKÓRZEWSKA

ZAGINIONE SKARBY

„SKARB nam zaginął..." skarżył się przed wiekami anglosaksoński „Wędrowiec".

Po wszystkie czasy życie człowieka gromadzi bogactwa, Matce jej dziecko, utwór poecie, rolnikowi łan żyta — rozkwit krwi, myśli i znoju — istotą życia się stają.

Dzisiaj, jak wówczas, miliony tułaczy straciły wszystko. Nie pieniądz zmierzy ich straty. Nikt nie zna ceny skarbu, który się bratu w proch rozpadł.

W jednym z obozów dzisiejszych wędrowców, łagodny żołnierz niespodziewanie rozsierdził się na sąsiada, który na własnej grządce zrywał więdnące kwiaty słoneczników. Zaskoczony wybuchem, dosłyszał wreszcie w wyrzutach kolegi udrękę serca: podobne kwitły wkoło jego chaty, gdzieś na Wołyniu. Czekał dojrzenia, aby jak tam, usiadłszy na progu, żuć ziarna. Zniszczono mu klejnot wspomnień, zaklęty w tarczę słonecznika, komunię z daleką zagrodą.

Stary bardzo człowiek pisał ten wiersz nieumiejętny, modlitwę gorącą iluż przetęsknionych lat:

Zgodzimy się z każdym już wyrokiem Boskim,
tylko niech nie wytną naszych lip najdroższych
Niech kwitną na słońcu, niech dzwonią pszczołami.
Matko Boska Zielna, módl się za lipami.

Oblane, błękitem, pogodą i złotem —
Pani, Matko nasza, daj je nam z powrotem.
Tęsknimy za niemi dniami i nocami.
Królowo pokoju módl się za lipami.

Niechaj ku twej chwale stoją tam niezmiennie
W lipcowym upale i w deszczach jesiennych,
Byśmy kiedyś umrzeć wśród nich mogli sami.
Królowo Aniołów, módl się za lipami.

Taż sama tęsknota, gdzieś na Madagaskarze ogarnia świetnego pisarza A. Fiedlera, u niego, znawcy przyrody, zbudzona głosem ptaka: „Oto bywa, że odezwie się w dolinie Ambinatello, czysty świergot naszego poczciwego świstnaka. Swiergot łagodny i przypadkowy, a jednak w takim świecie równie przejmujący jak najmocniejsze zaklęcie, równie kojący jak najżarliwsza modlitwa. Porusza najgłębsze struny ludzkiej duszy".

Po klesce Francji umierało wielu polskich żołnierzy tak rozproszonych po francuskich szpitalach, że z trudem udawało się część odnaleźć. Najczęściej skarżyli sie, że nie spoczną wśród brzóz wokoło dalekiego kościoła polskiej wsi — i najboleśniejsza była niemożność obiecania odchodzącym, że zostanie spełnione ich ostatnie życzenie.

To znowu o klejnocie straconym szeptał konający starzec: „Wyhodowałem nowy typ róży w ogrodzie nad Dniestrem. Biała podstawa płatków przenikała promienisto w ponsowy obwód. Nazwałem ją Polonia. Teraz zaginie niepielęgnowana".

Każdy w płonącym lesie stracił własne róże. Próżno powtarzać, że nie czas żałować... różnorodny ich rozkwit wiązał się w urok Ojczyzny.

Niedawno dotarła do mnie wiadomość potwierdzająca zniszczenie dobrze mi znanego zbioru obrazów. Gra mi jeszcze w oczach świetlaność łęgów nadwarcianych i falującej Prowansji Brandla, roztańczone bogactwo plam barwnych potoku na Huculszczyźnie, Bałtyku i Wenecji Czapskiego, mieniący się opal martwych natur Czyżewskiego, delikatna, nieśmiała harmonia płócien Jerzego Wolffa. A przecież zniszczenie tylu śladów pracy nie jest przekreśleniem życia twórczego tych, którzy jej dokonali. Artysta śledząc wzajemne oddziaływanie kształtów i barw natury wchodzi w istotniejszy kontakt z wszechświatem. Wzrasta jego czujność. Wchłaniając i przetwarzając rzeczywistość, siebie samego w coraz szlachetniejszy kruszec przetapia, kształtując w pewnym stopniu i tych co śledzą jego zmaganie z naturą, by dotrzeć do istoty zjawiska. W wizji malarza jest zalążek wizji mistyka. Nieraz przebijając się poprzez świat widzialny, poprzez przypadkowość dociera do Boga. Taką drogą szedł Fra Angelico, Brat Albert. Na taką wstąpiło kilku malarzy naszego własnego pokolelnia.

Niech Redaktor „Kultury" wybaczy plagiat z pierwszego wyczerpanego numeru, by sobie przypomnieć, że nasz los bezdomny nie jest wyjątkiem i związać go z czasem, kiedy Maximus, biskup Turynu tłumaczył obywatelom Mediolanu, którym Atylla zniszczył domostwa i spalił kościoły, że Bóg oddał w ręce nieprzyjaciół "non civitatem quae in vobis est, sed habitacula civitatis, non ecclesiam suam quae vera est ecclesia, sed receptacula ecclesiae" (nie społeczność która w was jest, lecz tylko mieszkania społeczności, nie Kościół swój, który prawdziwym jest Kościołem, lecz tylko pomieszczenia Kościoła) — a lud choć w lęku i smutku, trwał w wolności.

Praca dobra, mimo zburzenia dzieła, pozostaje źródłem żywej siły, rozchodzącej się działającą falą w przestrzeń i czas. Przelotne błyski trwałego piękna i prawdy, to wszystko co człowiek dostrzec może i innym uczynić widoczne. To wiele. Choć z dzieła dawnych epok zostały tylko okruchy, choć losem kultur jest kolejny rozwój i rozpad — twórczy wysiłek ma nieprzemijającą wartość pracy ogrodnika, który rok cały schyla się nad ziarnem, by przez dzień jeden kwitło barwą kwiatu.

Kwiat jest nietrwały, ale brzemienny zdolnością nowych rozkwitów. Byle współdziałać z wielką Bożą siłą przetwarzania łez w ziarna.

Teresa Skórzewska

LONDYNIE

łęzione wpływy. Jej znaczenia u dworu dowodzi i to choćby, że na zorganizowany przez nią koncert przybyła sama królowa, ks. Albert, jej małżonek oraz zwycięzca Napoleona, ks Wellington.

Koncert u ks. Sutherland był zbiorowy, tak że Chopin wypełnił grą swoich utworów tylko jeden numer jego programu. Mimo to spotkało go zaszczytne wyróżnienie ze strony królowej, która dwukrotnie z nim rozmawiała.

Jakie mogło być wrażenie jego gry na tak dostojnym audytorium?...

Królowa Wiktoria bardzo lubiła muzykę... taneczną, a szczególnie „skoczne kawałki". — Walczyki Chopina mogły jej się nawet podobać!

Ks. Albert cenił muzykę i znał się na niej, ale jako niemiecki książę był bardzo niechętny Polakom i jako „the shadow king of England" pracował gorliwie nad tym, by sprawa polska nie wypłynęła na powierzchnię polityki brytyjskiej i w tym duchu wpływał na królowę i jej ministrów. Działał skrycie, za kulisami polityki i bardzo skutecznie. Otwartym wrogiem Polaków był książę Wellington i wcale tego usposobienia w stosunku do nich nie krył. Walczyli przeciwko niemu w Hiszpanii, popierali do ostatka Napoleona — a to jego upadku podżegali nieustannie rewolucyjne spiski w Europie, zmierzające do obalenia istniejącego ustroju. Reszta uczestników tego koncertu albo czuła albo myślała podobnie o Polakach, nie miała jednak żołnierskiej odwagi Wellingtona na wyrażenie swego nastawienia. Wyjątek możnaby tu zrobić jedynie dla księżnej Sutherland, osoby kulturalnej i szczerze sprawie polskiej życzliwej, czego najlepszym dowodem jest jej współpraca z Literackim Towarzystwem Przyjaciół Polski. Jej małżonek był całkowicie niepokaźną osobistością. Prawda, że i on miał kiedyś swoje czasy chmurne i górne i to bardzo górne, bo kochał się w królowej pruskiej Luizie (kto się w niej nie kochał!!), ale przeszło mu to z wiekiem. Ożeniwszy się, dostał się całkowicie pod wpływy swej energicznej małżonki, a nawet podzielał jej zamiłowanie do muzyki, co mu przychodziło tym łatwiej, że był prawie zupełnie głuchy...

Najwięcej rozgłosu i zysku przyniosły Chopinowi dwa z kolei matinée, urządzone dlań przez przyjaciół w Londynie. Zaszczyt zorganizowania pierwszego z nich przypadł pani Sartoris. Przez jej dom (przy 99, **Eaton Place**), elegancko i dostatnio urządzony; przesuwało się wiele osób z londyńskiego świata muzycznego i teatralnego oraz z arystokracji, związanej z tym światem przez osobiste zainteresowania (aktorki, śpiewaczki, tancerki). To też, gdy Chopin zjawił się w Londynie, pani Sartoris postanowiła wprowadzić go w ten świat w sposób jak najbardziej dlań korzystny i w tym celu zorganizowała w swym domu matinée, z którego dochód przypadł naszemu artyście. Postarała się również o recenzenta, znającego się naprawdę na muzyce, który napisał pochlebne o grze Chopina sprawozdanie. Matinée to odbyło się 23 czerwca. Drugie matinée zorganizowała Chopinowi lady Anne Francis Falmouth w swym domu (2, St. James Sq. W.1.) w dn. 7 lipca. Inicjatorką była, jak się zdaje, jedna z kuzynek lorda Falmouth (zmarł w r. 1841), która poznała naszego artystę we Francji. Chopin, rozpisując się w jednym ze swych listów z entuzjazmem o tym koncercie pomieszał przy tej okazji genealogię domu Boscawen (prawdziwe nazwisko lordów Falmouth), biorąc kogoś z rodziny za samego lorda, od lat już nie żyjącego. Ta niedokładność w „cytowaniu" nazwisk odbiła się również i na Adelajdzie Sartoris, którą nasz artysta pomieszał z jej siostrą, Fanny (zamężna Butler)...

Po raz czwarty wystąpił Chopin publicznie w Londynie (po powrocie ze Szkocji) na dorocznym zespołowym koncercie, urządzonym w dniu 16 listopada w Guildhall przez Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski na rzecz uchodźców polskich w Anglii. Koncert ten zbiegł się z falą nieprzyjaznych nastrojów opinii angielskiej przeciw Polakom w Anglii, zapewne z powodu udziału niektórych z nich w ruchu chartystów. „The Times" opublikował w przededniu koncertu antypolski artykuł, potępiający tych Anglików, co organizują bale polskie na rzecz „biednych Polaków" zapominając o tym, że Polacy walczą na barykadach wszystkich stolic europejskich, dążąc do obalenia istniejącego ustroju politycznego.

Mimo to koncert się odbył, a gra Chopina wzbudziła żywiołowy entuzjazm wśród jego rodaków. Przybyli hurmem, by zobaczyć artystę, który mocą swego geniuszu wypisał imię Polski jeszcze wyżej niż Mickiewicz.

DAVISON VERSUS CHOPIN

W styczniu 1838 ukazał się nakładem firmy Wessel pierwszy zeszyt zamierzonego, zbiorowego wydania kompozycji Chopin'a („La Méditation* Scherzo pour le Pianoforte") Z tej okazji „The Musical World" pomieścił entuzjastyczny artykuł o jego autorze sławiąc go jako wirtuoza i podkreślając oryginalność jego własnych kompozycji. Równie entuzjastyczne recenzje pojawiły się na łamach tego pisma i o dalszych utworach Chopin'a, wydawanych nakładem firmy Wessel.

W roku 1841 powiał jednak inny wiatr, i to niewątpliwie z Niemiec, od strony największego rywala Chopina, Mendelssohna-Bartholdy. Całkiem nieoczekiwanie, po uprzednich pochlebnych recenzjach „The Musical World" zamieścił złośliwą napaść na Chopina, z okazji recenzji nowego zeszytu jego utworów, zawierającego „Souvenir de la Pologne". „Pan Chopin — pisał anonimowy krytyk — zyskał sobie w sposób, którego trudno dociec, tak wielki rozgłos, iż nie posiadają go nawet artyści, obdarzeni talentem dziesięciokratnie większym. Jest on szerzycielem pospolitości a nawet co gorsza, absurdalnych i wielce przesadnych ekstrawagancji". Nie dość na tym, ów krytyk nie pominął również i prywatnego życia Chopina, wskazując na jego uwikłanie się w dziwny romans z Madame George Sand, niewiastą sławną nie tylko z doskonałych i licznych powieści, ale również i z wytwornych i licznych kochanków. „Dziwić się należy — konkluduje ów krytyk — że ta pani, mając tak wyrobiony smak w dziedzinie miłości, mogła porzucić świat swoich pięknych snów dla współżycia z taką artystyczną nicością jak Chopin".

Autorem tej napaści, jak dalsze okoliczności wskazują, był początkujący krytyk muzyczny, J. W. Davison, gorący wielbiciel Mendelssohna-Bartholdy i to nie tylko jako muzyka ale i jako człowieka. Sam Mendelssohn cenił wysoko talent Chopina, a zwłaszcza technikę jego gry, wyrażając opinię, iż w tej dziedzinie nasz muzyk osiągnął wyniki, do których nikt przedtem nie doszedł. Jedynie godne porównanie, zdaniem Mendelssohna, mogło być zrobione tylko z Paganinim.

Opinia ta wypowiedziana była jednak w okresie kiedy sława Chopina zamykała się w granicach francuskich i polskich kół muzycznych. Gdy jednak zaczęła docierać i do Anglii, którą Mendelssohn uważał za domenę swych wpływów artystycznych — wielki muzyk poczuł się zagrożony przez młody dynamiczny talent, a że nie wypadało zmieniać dawnych opinii o Chopinie — poruszył przeciw niemu swych wielbicieli. Davison godnie spełnił rolę ślepego wyznawcy proroka niemieckiej muzyki; recenzja jego nie wyrządziła jednak sławie Chopina w Anglii poważniejszego uszczerbku, gdyż Davison był osobistością mało jeszcze znaną.

Zaczął on swoją karierę jako muzyk i kompozytor, ale nawet w kraju tak nieurodzajnym w talenty muzyczne jak Anglia, miernota jego nie pozwoliła mu wypłynąć na powierzchnię. Dał więc spokój kompozycji i grze i zaspokoiwszy swoje ambicje artystyczne przez małżeństwo z pianistką Arabellą Goddard, jął się krytyki muzycznej (z czasem został głównym krytykiem muzycznym „Timesa").

Jego recenzję najbardziej zaniepokoiła się firma Wessel and Co. Aby ugaskać ząbkującego dopiero lwa, zwrócono się doń, by napisał rozprawę, za którą, rzecz oczywista, firma obiecała dobrze zapłacić. Davison podjął się zadania. Napisany przezeń pamflecik został wydany (anonimowo, ze względu, zapewne na Mendelssohna) w r. 1843 p. t. „An Essay on the Works of Fréderic Chopin", jako reklamowa broszurka. Jest to mięszanina grafomanii z niezręcznie ukrywaną złośliwością. Autor omawia najpierw „filozoficzne" podstawy muzyki Chopina, nie szczędząc sobie określeń w rodzaju „koloryt metafizyczny" czy też „transcedentalny mistycyzm", a następnie charakteryzuje poszczególne typy jego utworów. Z uwag, rozrzuconych po tym quasi studium, dowiadujemy się, że były one już wówczas grywane w Anglii, na publicznych koncertach, i miały licznych wykonawców i wielbicieli.

Należy przypuszczać że wieść o wystąpieniach Davisona musiała dotrzeć z czasem do wiadomości Chopina. Gdy w r. 1847 zmarł Mendelssohn, a Davison, bawiący wówczas w Paryżu, zwrócił się do naszego muzyka z prośbą o podpis na depeszy kondolencyjnej do wdowy — Chopin odmówił, głównie z tego powodu, że depeszę tę podpisali sami muzycy niemieccy. Davison nie omieszkał opublikować tego faktu w „The Musical World", wyrażając się o Chopinie jako o „polskim muzyku, który — jak się zdaje — skomponował kilka rond i kilka utworów do tańca".

Przyjazd Chopina do Londynu próbował Davison wykorzystać jako okazję do pogodzenia się i w tym celu zainicjował w redagowanym przez siebie tygodniku „The Musical World" artykuł powitalny. Nasz artysta mógł sobie już wówczas pozwolić na nieliczenie się z opinią Davisona i dlatego powitanie to zignorował, a co gorsza — organizatorzy matinée i koncertów, na których występował Chopin nie zapraszali Davisona wogóle. On natomiast nie dzielił za to entuzjazmu krytyka muzycznego „Athenaeum" dla gry Chopina i poprzestał na suchych, krótkich wzmiankach o jego wystąpieniach.

W okresie gdy Chopin zmarł — Davison bawił w Paryżu. Był jednym z licznych uczestników jego pogrzebu i napisał następnie dość przyzwoity nekrolog w redagowanym przez siebie piśmie. W latach późniejszych, jako krytyk muzyczny „Timesa" był mimowolnym świadkiem, jak zapominano powoli Mendelssohna w Anglii, a coraz bardziej i powszechniej grywano i uwielbiano Chopina.

ADIEU A LONDRES

Chopin za życia porywał słuchanie tyle swoimi kompozycjami, ile swoją grą. Była ona fenomenalnym zjawiskiem. Ci, którzy go słyszeli grającego, niewątpliwie zapamiętali to na całe życie.

Jakie było wrażenie jego gry w Londynie, na tych oczywiście, którzy mieli choćby minimalne odczucie i zrozumienie dla muzyki?

Jane Welsh Carlyle (żona Tomasza Carlyle), która słyszała go dwukrotnie, tak pisała w liście do siostry pod wrażeniem jego gry: „Gdybym uprzednio nie słyszała gry na fortepianie, nie dałabym wiary, że tak wielkie możliwości kryje ten instrument". — Krytyk muzyczny „Atheneum", który słyszał grę Chopina na matinée u pani Sartoris, napisał pełne entuzjazmu sprawozdanie, w którym mamy wiele ciekawych szczegółów, dotyczących samej techniki gry na fortepianie, stosowanej po mistrzowsku przez naszego muzyka, głównie przy odtwarzaniu własnych kompozycji. Na to samo zwrócił uwagę sprawozdawca „Daily News" (z dn. 10 lipca 1848), który słyszał Chopina u lady Falmouth. Przykładów tych możnaby przytoczyć znacznie więcej. Ogólnie biorąc — gra Chopina budziła powszechny zachwyt. On sam natomiast mniej był zadowolony z angielskiej publiczności. „Sztuka tutaj — pisał w jednym z listów z Londynu — to malarstwo, snycerstwo i architektura... A muzyk jest profesyą nie sztuką i żadnego muzyka artystą nikt nie nazwie".

Schorowany, zmęczony i niezadowolony opuścił Chopin Londyn. Czy miał rację oceniając tak surowo publiczność angielską za jej traktowanie muzyki jako „profesji".

Wówczas — zapewne tak!

A dziś?

Anglia bije wszystkie kraje liczbą wydań utworów Chopina. To też o czymś świadczy. Popularność i kult jego muzyki w tym kraju są powszechne i rosną z roku na rok. Na stu Anglików jest niewątpliwie więcej takich, którzy rozpoznają utwory Chopina i mają dla nich zrozumienie, niż na tysiąc jego własnych rodaków.

W tym świetle, jego podróż do Londynu ma już dziś charakter symboliczny.

Józef Jasnowski

***) Wiadomo, że Chopin nie znosił muzyki programowej. Sam pilnie czuwał nad tym, aby tytuły jego utworów nie sugerowały żadnej anegdoty literackiej, t.zw. „idei", kompozycje jego więc nosza nazwy, określające jedynie rodzaj muzyczny. Muzykę Berlioza, rozmiłowanego w „gigantyczności", ilustracyjności i programowości (np. „Symfonia Fantastyczna") uważał za „prostacką" i „ordynarną". Dlatego też takie tytuły, jak „Meditation", „Souvenir de la Pologne", „Adieux à la Pologne", jakie nadał angielski wydawca były czymś sprzecznym z artystycznym i muzycznym sumieniem kompozytora. Jednakowoż w tym wypadku przemówił argument wydawcy, że dla publiczności angielskiej dzieła jego muszą być zaopatrzone w efektowne tytuły programowe, co zapewni dobrą rozsprzedaż. Szopen zawsze umiał dobrze chodzić dokoła swych interesów, (a swój stosunek do wydawców ujął w bardzo prostą i wymowną formułę: „płać, bydlę!"), to też wzgląd na sukces finansowy miał dla niego potrzebną wagę. Ponadto Chopin nie tylko nie znosił Anglików, nie tylko czuł do nich niewytłomaczoną niechęć, ale i lekceważenie, nie zawsze wytwornie wyrażane. Znane jest jego odezwanie się do Niedźwieckiego w czasie powrotu z Anglii, kiedy pokazując na stado wołów twierdził, że nawet te zwierzęta górują nad wyspiarzami inteligencją i muzykalnością.**

Anglia była wówczas taką pustynią muzyczną, jeśli chodzi o twórczość i krytykę, że tutejsza publiczność mogła się dla niego tylko liczyć jako „nabywcy".

Dop. RED.

BEATA OBERTYŃSKA

ANGLIA

Soczysta jest ta wasza Anglia — zielona,
w szkliwo wód, — w łąk malachit płynnie rozgładzona,

w zywopłotów okrężność, co brzeg polom głaska,
w spokój dębów brodzących po kolana w jaskrach...

Osiadła jest ta wasza Angia — cienistą,
w starych murów i bluszczu wilgotnych uściskach,

w drobiazg domków rozdarta — w ład ogródków z furtką,
gdzie czas sennym się kotem wygrzewa na murku...

Bezpieczna jest ta wasza wyspa — i własna,
o chłód lasów oparta — o wzgórz giętkie pasma,...

i dostatnia i syta — głogami bielona
i na pół nie przecięta przez linię Curzona.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

TABLICA KU CZCI CHOPINA

W tych dniach na domu, w którym Chopin dał swój pierwszy koncert publiczny w czasie swego pobytu w Londynie w r. 1848, umieszczona została tablica pamiątkowa. Jest to dom przy Eaton Place 99 (w załamaniu tej ulicy, na rogu West Eaton Place). Został on obecnie odnowiony.

Koncert-matinée odbył się dn. 23 czerwca 1848; właścicielką domu była wówczas pani Sartoris. Napis na tablicy pamiątkowej głosi:

FRYDERYK
CHOPIN
1810 - 1849
GAVE HIS FIRST
LONDON CONCERT
IN THIS HOUSE
JUNE 23 1848

Następny publiczny koncert Chopina w Londynie — również matinée — odbył się w domu przy St. James's Square nr. 2, będącym własnością lorda Falmouth. Dom ten uległ zniszczeniu w czasie Drugiej Wojny Światowej. Oba koncerty łącznie zgromadziły około 400 osób i przyniosły Chopinowi ok. 300 funtów dochodu. Poza tymi występami publicznymi Chopin grał na kilku przyjęciach prywatnych, jak to podaje w swym szkicu na str. 4 i 5 tego numeru dr Józef Jasnowski.

Ostatni publiczny występ Chopina w Londynie odbył się d. 16 listopada 1848 po jego powrocie ze Szkocji. Chopin grał tym razem na dochód emigrantów polskich na koncercie i balu, urządzonym w Guildhallu londyńskim przez Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski. Był to zarazem ostatni jego publiczny występ w życiu.

PONURA WIZJA PRZYSZŁOŚCI

Sensacją rynku księgarskiego w Wielkiej Brytanii jest nowa książka George Orwella „Nineteen Eighty Four" (Secker and Warburg, 1949, cena 10 s.). Jest to na poły satyryczna wizja przyszłości przypominająca satyry Swifta i fantazję Huxleya „Nowy wspaniały świat". Orwell zapoczątkował ten rodzaj twórczości już w r. 1945 swą „Farmą zwierzęcą" („Animal Farm") obrazującą pod postacią bajki stosunki w państwie sowieckim. Swą nową książkę nazwał powieścią, ale jest to powieść o społeczeństwie, a nie o przeżyciach indywidualnych (choć nie brak w niej pary bohaterów).

Wedle tej fantazji świat w r. 1984 podzielony będzie na trzy wielkie totalistyczne satrapie: Oceanię, Eurazję i Eastasię (Azję wschodnią), pozostające między sobą w stanie chronicznej wojny. Wielka Brytania stanowić będzie część Oceanii jako „Airstrip 1" („Pasek powietrzny nr. 1"). Reglamentacja życia nie tylko społecznego, ale i jednostkowego posunięta będzie jeszcze znacznie dalej niż w fantazji Huxleya. Rządząca machina łamie bez większej trudności jedynego buntownika przeciw temu ponuremu systemowi — Winstona Smitha.

Rzecz napisana jest z dużym talentem.

Z WYSTAW LONDYŃSKICH

W British Museum odbywa się obecnie wystawa sztuki perskiej na przestrzeni od IX do XIX stulecia. Otwarta jest w dni powszednie od 10 - 5, w niedzielę od 2.30 - 6.

W Foyle Art Gallery (Charing Cross Road) otwarta jest wystawa sztuki chińskiej, a w Oriental Ceramic Society (48, Davies Street, W.1.) wystawa ceramiki chińskiej. Druga z tych wystaw otwarta jest codziennie od 10-5, w soboty od 10-1; wstęp 1 s. 6 d.

W Guildhall Art Gallery (City, E. C.2.) wystawione są obrazy holenderskie z okresu 1850-1900, w szczególności impresjonistów haskich i amsterdamskich. Wystawa otwarta jest normalnie od 10-5, w soboty od 10-1.

W niedziele i święta prywatne galerie sztuki są zamknięte.

DEUTSCHER O STALINIE

Izaak Deutscher, podczas ostatniej wojny i później autor licznych artykułów o sprawach polskich i Europy Środkowo-wschodniej w ogóle, pisanych ze znaną tendencją ogłosił p.t. „Stalin. A Political Biography" (Oxford University Press 25 s.), książkę o dyktatorze sowieckim. Za podstawowe cechy Stalina Deutscher uważa jego ostrożność i ambicję, połączoną z wielką siłą woli. „Times Literary Supplement" z d. 10 czerwca zamieszcza o książce dłuższy artykuł wstępny. Edward Crankshaw w „Observerze", chwaląc książkę, zarzuca jednak Deutscherowi, że potraktował Stalina i rewolucję sowiecką w zupełnym oderwaniu od wartości ogólnoludzkich, takich, jakie są przyjęte w społeczeństwie brytyjskim.

BIOGRAFIA BENJAMINA CONSTANT

Harold Nicolson, literat, historyk i felietonista tygodnika „The Spectator", ogosił drukiem pierwszą angielską biografię Benjamina Constant, pisarza i polityka francuskiego z przełomu XVIII i XIX stulecia (Constable, 18 s.).

Z ŻYCIA KULTURALNEGO EMIGRACJI

P.K.S.U. VERITAS organizuje w pierwszej połowie sierpnia obóz wypoczynkowy w Pitsford Hall n/r Northampton dla członków i sympatyków organizacji; obozy Veritasowe mają już tradycję dobrze udanych imprez; dają nie tylko pełnię odpoczynku fizycznego lecz również pewien zasób wiedzy religijnej i ogólnej, podanej w miłej dyskusyjnej formie.

Nie wątpimy, że tegoroczny obóz pobije dotychczasowe rekordy. tymbardziej, że jest dokładnie przygotowywany.

DYSKUSJA O TEATRZE

W dniu 8 czerwca w Klubie Towarzyskim YMCA, 6 Cadogan Square, odbył się wieczór dyskusyjny p.n. **„Cele i zadania teatru polskiego na emigracji"**. Zagajeniem dyskusji były przemówienia pp. Z. Nowakowskiego. W. Budzyńskiego. L. Kielanowskiego, W. Radulskiego i T. Terleckiego, którzy przedstawili od strony dyrektora, autora i krytyka teatralnego najbardziej aktualne problemy, związane z rozwojem teatru na emigracji. Przez wszystkie przemówienia przebijała żywa troska o losy ważnej placówki kulturalnej, jaką jest teatr oraz świadomość jego wyjątkowej roli na obczyźnie.

Licznie zebrana publiczność miała możność zetknięcia się z rzeczywistością ciężkiej pracy artystów, którzy niezrażeni wielkimi trudnościami dają ok. 150 przedstawień miesięcznie zaspakajając głód słowa polskiego, występujący we wszystkich osiedlach polskich szczególnie na prowincji.

W dyskusji poruszono wiele istotnych zagadnień, domagając się m. in. stworzenia teatru dla dzieci polskich, ulegających wynarodowieniu i zainteresowania teatrem młodzieży akademickiej, która studiując na angielskich uczelniach oddala się od polskiej kultury.

ODCZYT O PLATONIE

W dniu 10 czerwca na sesji Sekcji Humanistycznej Polskiego Tow. Historycznego, która odbyła się w siedzibie Polish Research Centre, 51 Eaton Place, prof. Adam Żółtowski wygłosił odczyt o filozofii Platona. Tematem odczytu była analiza dialogu „Sofista", a w szczególności rozróżnienie, jakie czyni Platon pomiędzy rola prawdziwego filozofa a rolą sofisty. Zdaniem Platona zarówno filozof jak i sofista posługują się tą samą metodą dialektyczną, lecz gdy prawdziwy filozof używa tej metody w celu poznania prawdy. sofista czyni to dla korzyści osobistej. W ożywionej dyskusji, jaka się wywiązała po odczycie, wzieli udział pp.: prof W. Folkierski. prof. M. Kukiel, M. Pawlikowski. prof. St. Stroński, dr W. Strzałkowski, p. Winnicka, dr Wieniewski.

Jako rezultat odczytu grono filozofów, znajdujących się w W. Brytanii, postanowiło założyć Koło Filozoficzne, nad którym przewodnictwo objął prof. Adam Żółtowski.

WALNE ZGROMADZENIE ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH

W dniu 11 czerwca w Domu Pisarza, 312 Finchley Rd. odbyło się Walne Zgromadzenie Zw. Pisarzy Polskich. Obradom przewodniczył Z. Nowakowski. Ustępujący prezes Związku prof. St. Stroński przedstawił sprawozdanie za okres ubiegły. Sprawozdanie to uzyskało absolutorium, a prof. Strońskiemu wyrażono uznanie w szczególności za stworzenie Domu Pisarza, do którego się bardzo przyczynił. W dyskusji poza sprawami wewnętrzno-organizacyjnymi poruszono wiele problemów natury ogólnej m.in. naglącą sprawę odczytów na prowincji, konieczność ożywienia ruchu wydawniczego oraz kwestię zasadniczą roli pisarza polskiego na emigracji.

Prezesem Związku na rok następny został wybrany p. Antoni Bogusławski. Do Zarządu weszli pp.: Jan Bielatowicz, Wacław Grubiński, Józef Kisielewski, Anatol Krakowiecki, Tadeusz Nowakowski. Michał Pawlikowski. Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński, Tymon Terlecki, Józef Andrzej Teslar, dr Wiktor Weintraub oraz z zamiejscowych Kazimierz Wierzyński i prof. Zygmunt Zaleski.

OBCHÓD KU CZCI SŁOWACKIEGO

W dniu 17 czerwca staraniem Konfraterni Artystów został zorganizowany w siedzibie Zw. Harcerstwa Polskiego, 45 Gloucester Rd., obchód ku czci Juliusza Słowackiego. Na obchód złożyła się prelekcja dyr. L. Pobóg-Kielanowskiego o twórczości dramatycznej poety, przeplatana recytowanymi przez p. J. Domańską fragmentami jego dramatów.

Prelekcja objęła najwcześniejszą część twórczości Słowackiego, a mianowicie dramaty: „Mindowie", „Kordian", „Mazepa", „Lilla Weneda" i „Balladyna". Ciekawie skomponowanej prelekcji oraz recytacyj młodzież wysłuchała w wielkim skupieniu, obiecując sobie w dalszych, zapowiedzianych prelekcjach zapoznać się choć w zarysie z całokształtem twórczości dramatycznej poety.

Z DZIAŁALNOŚCI RADY NAUKOWEJ

Niejako uzupełnieniem XXV tomu „Nauki Polskiej", który się ukazał w kraju pod red. zasłużonego, długoletniego jej redaktora dra Stanisława Michalskiego, postanowiła zająć się Rada Naukowa w W. Brytanii. Wydawnictwo „Nauki Polskiej" nie uwzględniło w bogatym dziale sprawozdawczym z przyczyn od redakcji niezależnych dorobku naszych uczonych i organizacyj naukowych w W. Brytanii, na Bliskim Wschodzie, we Włoszech i w Niemczech.

Z inicjatywy Przewodniczącego Rady Naukowej prof. T.Brzeskiego postanowiono tę lukę wypełnić. Powstał Komitet Redakcyjny, którego przewodniczącym został prof. T. Grodyński, a sekretarzem mgr. M. Danielowiczowa. Nowe wydawnictwo pod red. prof. T. Sulimirskiego obejmie ok. 320 stron druku, omawiając obszernie działalność naukową poszczególnych ministerstw, istytucyj i towarzystw naukowych na obczyźnie, jak również dzieje szkół wyższych poza krajem, akcję stypendialną, akcję wydawniczą oraz indywidualne osiągnięcia uczonych.

NOTATNIK

Dokończenie ze str. 1

„WIĘKSZE WPŁYWY W KOŚCIELE"...

Biskup w Nottingham (Środkowa Anglia) w liście pasterskim o potrzebie kształcenia duchowieństwa, (to znaczy o potrzebie pracy nad zwiększeniem liczby powołań) podkreślił, że Irlandia, mimo że ma tylko trzy miliony mieszkańców, dostarcza całej kuli ziemskiej jednej dwunastej części całego personelu duchownego, czynnego w misjach.

Naród polski jest dziesięć razy liczebniejszy od Irlandczyków. Gdyby powołań było w Polsce proporcjonalnie tyleż co w Irlandii, personel misyjny świata mógłby zostać niemal podwojony. A jakżeby to wzmogło także zasięg duchowy wpływu Polski!

Często słychać wśród Polaków narzekania, że „Niemcy mają większe wpływy w Kościele od nas". Czy nie najskuteczniejszym na to lekarstwem byłoby zwiększyć liczbę powołań i zwiększyć swój głos w życiu Kościoła — pracą i zasługą?

ILU JEST KATOLIKÓW NA ŚWIECIE?

„Schweizerische Kirchenzeitung" oblicza, że katolików jest około 400.000.000 na ogólną liczbę 2.320. 000.000 ludzi na świecie.

Gazeta stwierdza, że w ciągu ubiegłych lat 150 procent katolików w świecie spadł, gdyż ludności protestanckiej, muzułmańskiej i innej przybywało szybciej, niż katolickiej. Np. w tym samym czasie ludności Francji wzrosła z 28 na 41 milionów, a ludność Wielkiej Brytanii (wraz z Północną Irlandią) — z 11 na 59.

Natomiast w czasach najnowszych ludność katolicka wzrasta szybciej od protestanckiej. A ponadto powiększa się przez stały pęd nawróceń, który wyraża się cyfrą miliona dusz rocznie.

CO KRAJ, TO OBYCZAJ

„The Universe" zwraca uwagą, że w Anglii biblii naucza się we wszystkich szkołach, natomiast anglikański biskup Birmingham naucza w swej książce, że Jezus nie jest Synem Bożym i że Zmartwychwstanie nie miało w ogóle miejsca.

Tymczasem w krajach za żelazną kurtyną sytuacja jest odwrotna. W szkołach naucza się materializmu marksistowskiego, natomiast biskupi są chrześcijanami

ZAKOŃCZENIE MISJI ANGLIKAŃSKIEJ

Anglikańska „misja londyńska" (Mission to London) została zakończona. Jak ogłaszają jej organizatorzy, koszt jej wynósł 22.000 funtów, z czego 12.000 pochłonęła reklama.

W zorganizowaniu misji, prócz właściwych jej kierowników, wziął udział specjalnie zaangażowany zespół zawodowych specjalistów od reklamy. Jak twierdzi dr. Wand, anglikański biskup Londynu, anglikańskie władze kościelne były z pracy tego zespołu zadowolone, a misja nie dałaby bez udziału tych wziętych zzewnątrz „mózgów" i ich fachowej umiejętności tych samych rezulatów.

Dr. Wand mówi, że misja była oskarżoną o wulgarność i krzykliwość. Ale uważa, że jeśli można było przez to zdobyć choćby jedną duszę więcej, to należało wulgarnych i krzykliwych środków użyć.

Czy misja dała jakieś rezultaty — trudno obcemu sprawdzić.

MYSZ POD KRZESŁEM

P.Jean Cocteau wrócił z Nowego Yorku i opowiedział na łamach „Samedi-Soir" o swych wrażeniach z tego miasta. „Dziwne miasto, powiada, nie widać w nim ani dzieci ani psów. Wiadomość o artykule francuskiego dramaturga dotarła do Nowego Yorku i oburzyła Korporację Optyków. Ogłasza ona, że darmo ofiaruje Panu Cocteau dostatecznie silne szkła, by mógł dojrzeć w ich mieście 2.442.000 dzieci i 33.500 psów.

Dowiedziawszy o tym wszystkiem amerykańskie pismo „St. Louis Post Dispatch" probuje ze swej strony pomyłkę Cocteau wytłumaczyć twierdząc, iż bardzo często ludzie zbyt zapatrzeni w jedno nie widzą wiele innych rzeczy.

Tak było z tym kotem w angielskiej bajce, który wybrał się do Londynu by zobaczyć królowę, ale zamiast tego dojrzał jedynie myszkę pod krzesłem.

YANG KO

Wszechstronność propagandy komunistycznej i jej elastyczność doprawdy budzi wstyd w chrześcijanie na myśl, jak niezwykle ociężałe są w porównaniu z nią nasze własne metody.

„Jednym z głównych narzędzi propagandy komunistycznej w Chinach jest taniec. Czy jaka wieś lub miasto jest opanowana przez komunistów czy nie, poznać można na pierwszy rzut oka po tym, czy odbywają się uliczne tańce. A właściwie taniec YANG KO.

Oparty na starych elementach muzyki ludowej, taniec ten o bardzo prostej rytmicznej melodii, o niezliczonych kupletach, nadający się do tańczenia zarówno parami jak i zbiorowo , nietrudny do nauczenia a umożliwiający rozwinięcie dużej zręczności, powstał w północno-zachodnich prowincjach podczas okupacji ich w latach trzydziestych przez słynną „wędrowną armię czerwoną" chińską. Przyjął się on zrazu na wsi, potym przenieśli go do miast studenci i szerzyli jego znajomość na terenach Chin Cziang Kaj Sieka.

Wykorzystując tradycję rewolucji francuskiej i jej tańca, Karmanioli, bolszewicy połączyli Yang Ko ze śpiewem rewolucyjnym. Oto naprzykład najpopularniejsze kuplety śpiewane dziś przez tańczących w Szanghaju:

„Reakcjoniści eksploatujący lud zasługują, by ich pociąć na tysiąc kawałków...Wielcy właściciele, wielcy wodzowie, wielkie rodziny i wielcy poborcy wszyscy spiskują razem, wszyscy spiskują razem...Robotnicy pochyleni nad swą pracą dzień za dniem, dzień za dniem, a bogacze żyją w bezczynności... Z młotem w ręku, z łopatą na ramieniu chcemy sprawiedliwości, chcemy żyć" i tak dalej.

Bębenki wybijają takt, wtórują im cymbały; trzy kroczki wprzód, trzy kroczki w tył, przyklękniecie: „Nie ustań, aż wielkie rodziny będą zlikwidowane". Dzyń-dzyń-dzyń.

DOBRY PRZYKŁAD

Turcja pierwsza wprowadziła ograniczenia w poruszaniu się na jej terytorium dyplomatów sowieckich, jak również przedstawicieli dyplomatycznych państw satelitów Rosji Dla podróżowania poza granicami Ankary i Istambulu będą oni musiel otrzymywać specjalne zezwolenia. Decyzja ta jest odwetem za podobne ograniczenia, którym podlegagają w tych krajach dyplomaci tureccy i ma być również środkiem zapobiegawczym przeciw porywaniu obywateli rosyjskich nie pragnących powrotu do sowieckigeo raju. Utrudni ona również krajoznawcze wycieczki agentów Kominformu.

Dokończenie obok

KTO ŚWIATEM RZĄDZI?

Znany amerykański tygodnik „Colliers" w wyniku ankiety; przeprowadzonej jedynie w kołach dzienikarskich Stanów Zjednoczonych, ustalił listę 25 osób, które rządzą światem. Na liście tej znajdujemy następujące nazwiska. W Rosji: Stalin, Mołotow, Beria, Malenkow, marszałek Bułganin. W Stanach Zjednoczonych: Prezydent Truman, Dean Acheson, generał Mac-Artur, dyrektor planu Marshalla Paweł Hoffman i szef syndykalistów Walter Reuther. We Francji: generał de Gaule i Jacques Duclos. W Wielkiej Brytanii: Winston Churchill, Clement Attlee i Ernest Bevin. Z innych krajów na liście figurują następujące osobistości: dyktator Chin Mao-Tse-Tung, dyktator Jugosławii Broz-Tito, dyktator Hiszpanii Franco, dyktator Argentyny Peron, w Belgii Paul-Henri Spaak, w Indiach Nehru, w Transjordanii Abdullah, w Palestynie Weizman, W Południowej Afryce Smuts, wreszcie Głowa Kościoła Rzymsko-Katolickiego Papież Pius XII.

Część prasy amerykańskiej w polemice, która się na ten temat rozwinęła była zdania, że lista ta jest zbyt obszerną i że osobami, które przemożny wpływ wywierają i wywierać będą na losy świata są jedynie Stalin, Papież Pius XII, Churchill, Nehru, Mao-Tse-Tsung, Tito i Weizman.

Przed zakończeniem subskrypcji na „Książkę o Kołymie"

Dzień, w którym bieżący numer ŻYCIA dojdzie do rąk Czytelników, t. zn. sobota 2 lipca b.r., będzie ostatnim dniem subskrypcji na dzieło Anatola Krakowieckiego p. t. **„Książka o Kołymie"**. Należy przypuszczać, że po tej dacie napływać będą w dalszym ciągu zgłoszenia z dalszych ośrodków polskich, rozsianych po wszystkich częściach świata. Administracja przyjmować będzie tylko te zgłoszenia na zasadach subskrypcyjnych, które wysłane zostaną do daty 2 lipca włącznie.

Wszystkie zamówienia wysłane po dacie 2 lipca b.r będą już przyjmowane tylko za pełna cenę książki t. zn. **12/6.**

Do soboty dn. 25 czerwca 1949 wpłynęło 510 zgłoszeń subskrypcyjnych na „Książkę o Kołymie".

Wkrótce w ŻYCIU zamieścimy końcowe omówienie całej akcji, związanej z wydaniem „Książki o Kołymie" na zasadach przedpłaty.

ŻYCIE AKADEMICKIE

KRONIKA

PAX ROMANA

W końcu kwietnia br. odbył się w Meksyku doroczny międzynarodowy zjazd przedstawicieli katolickich organizacji studenckich sfederowanych w Pax Romana. P.K.S.U. „Veritas" afiliowane do Pax Romana było reprezentowane przez O. J. Jarzębowskiego, przebywającego stale w Meksyku.

Tematem Zjazdu było zagadnienie współpracy Ameryki w odbudowie katolickiego życia uniwersyteckiego.

W imieniu „Veritasu" delegat polski zwrócił uwagę Zjazdu na ciężką sytuację studentów uchodźców przebywających na studiach w Niemczech i w Austrii i wezwał reprzentowane na Zjeździe federacje do przyjścia im z pomocą.

Prezesem gałęzi studenckiej Pax Romana na rok 1949/50 został p. Pompe (Holandia).

Następny kongres Pax Romana odbędzie się w r. 1950 w Holandii.

Z LONDYNU

Dnia 11 bm. odbyło się dokończenie walnego zebrania **Bratniej Pomocy Studentów P.U.C**, które miało miejsce 21 maja. Na porządku obrad znalazły się sprawy poprawek statutu oraz wytyczne planu pracy zarządu na rok 1949-50.

Dzięki staraniom w sferach brytyjskich wielu studentów P.U.C. otrzymało w roku obecnym letnie praktyki zawodowe. Dotyczy to jedynie studentów lat wyższych. Praktyki te mają na celu pogłębienie wiadomości fachowych oraz zapoznanie studentów z miejscowym rynkiem pracy, a tym samym ułatwią późniejszy start w przemyśle brytyjskim.

*

Dnia 10 bm. odbył się w Westminster Hall koncert Chóru Akademickiego oraz Orkiestry Akademickiej. Na koncert złożyły się pieśni Żukowskiego, Lachmana F. Nowowiejskiego i td. w wykonaniu chóru i solisty oraz szereg utworów tanecznych w wykoniu orkiestry. Całość wypadła dość dobrze, co zasługuje na tym większą pochwałę, że studenci biorący udział w występie potrafili połączyć naukę z przygotowaniami do tego występu, a tym samym umożliwili licznym słuchaczom miłe spędzenie wieczoru. Na specjalne wyróżnienie zasługuje wysiłek włożony w tę imprezę przez dyrygenta chóru R. Fadanelli.

UCZELNIE BRYTYJSKIE

Rada N. U. S. zajmie się w niedługim czasie przedyskutowaniem własnego planu ubezpieczeń społecznych dla studentów, dającego większe korzyści i pomoc ubezpieczonym studentom, niż uzyskują oni w National Insurence Scheme. Plan ten miałby być, po ostatecznym ustaleniu, przedstawiony zainteresowanym ministerestwom.

T.K.T.

Studenci angielscy rozpoczęli akcję zbierania podpisów i wywierania nacisku na posłów angielskich w celu nakłonienia ich na rozpoczęcie debaty w Izbie Gmin nad „Students Charter".

*

N.U.S. wyraźnie nosi znamiona starszego pokolenia angielskiego, jeśli chodzi o zagadnienia stosunku do organizacji młodzieżowych państw zza żelaznej kurtyny i Hiszpanii. Niekonsekwencja władz NUS jest tak rażąca, że aż obskurna; mimo najgłośniejszych zapewnień o apolityczności tej organizacji, nikt przytomnie myślący nie może zaprzeczyć, że jest wręcz odwrotnie.

N.U.S. sprecyzował swoje stanowisko jeśli chodzi o wzięcie udziału w Światowym Festiwalu Młodzieży, który odbędzie się w sierpniu br. w Budapeszcie. Odłącza się on od wszelkich politycznych demonstracji, haseł i deklaracji, widząc w uczestnictwie w festiwalu możność wyjazdu do Węgier, wymiany i porównania indywidualnych punktów widzenia studentów z różnych krajów i godnego reprezentowania osiągnięć i działalności kulturalnych Anglii. Zdawałoby się, że tak wiele! A mimo to, czy nie o wiele za mało, jak na wolnych ludzi?

Z POLSKI

Kraków posiada 4 uczelnie typu akademickiego i jedną wyższą uczelnię nieakademicką.

Krakowski Uniwersytet Jagieloński posiada 6 wydziałów, przy czym wydział lekarski ma studium Wychowania Fizycznego i studium Farmaceutyczne, a Rolniczo-Leśny posiada studium Spółdzielczości.

Akademia Górnicza łącznie z wydziałami Politechn. posiada również 6 wydziałów. Do powyższej grupy szkół państwowych należy Akademia Sztuk Pięknych z wydziałem Malarstwa i Rzeźby.

Niepaństwową jest Akademia Handlowa i nieakademicka Wyższa Szkoła Nauk Społecznych z wydziałami: Ogólnym, Dziennikarskim, Społ.-Samorządowym, Bibliotekarsko-Oświatowym.

Mimo podniesienia wysokości stypendiów Ministerstwa Oświaty dla młodzieży akademickiej do 5.000 zł. miesięcznie problem utrzymania się w przybliżonych do przeciętnych warunków jest dla studenta nadal nadzwyczaj trudny.

Studenci Uniwersytetu Warszawskiego otworzyli Sekcję pośrednictwa pracy, czynną na Krakowskim Przedmieściu 26/28, która zajmuje się wyszukiwaniem dorywczej pracy dla akademików. Na czele stoi „tow." Halina Karolek, „aktywistka" ZAMP.

Brak i wygórowane ceny podręczników naukowych skłonił studentów do zorganizowania w Krakowie Studenckiej Spółdzielni Wydawniczej.

ZMP wysłał dwu delegatów do Budapesztu celem wzięcia udziału w pracach Komitetu Przygotowawczego, który pracuje nad zorganizowaniem światowego Festiwalu młodzieży akademickiej.

*

Na 10 wyższych uczelni, jakie **posiada Warszawa, jedynie Szkoła** Główna Handlowa nie jest uczelnią państwową. Uczelniami akademickimi czynnymi obecnie są: Uniwersytet Warszawski (10 wydziałów), Politechnika Warszawska (6 wydziałów), Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego (3), Akademia Sztuk Pięknych (3 wydziały), Akademia Wychowania Fizycznego, Akademia Sztabu Generalnego, Szkoła Główna Handlowa oraz nieakademicka Szkoła **Inżynieryjna im. Wawelberga i Rotwanda.**

DYSKUSJE

ECHA ARTYKUŁU OJCA Prof. I. M. BOCHEŃSKIEGO

O Leninie, o synu Stalina i tomiźmie

Artykuł I. M. Bocheńskiego O.P. wywołał — można to powiedzieć bez żadnej przesady — olbrzymie poruszenie. Otrzymujemy liczne artykuły za i przeciw, które będziemy drukowali w kolejnych numerach ŻYCIA. Ojciec I. M. Bocheński odpowie zbiorowo na najbardziej charakterystyczne głosy.

W wielu wypowiedziach, także w obu poniższych, pojawia się postulat: poznajmy tomizm, dajcie nam do ręki abecadło filozofii św. Tomasza.

Dzielimy się z naszymi Czytelnikami radosną wiadomością, że właśnie Ojciec Bocheński kończy dla ŻYCIA „ABC tomizmu“, **które już wkrótce zaczniemy drukować w odcinkach.**

W dzisiejszym numerze głos zabierają znany publicysta p. J. Giertych i p. J. Z. Kędzierski, student

PROSZĘ mi wybaczyć, że pozwalam sobie mieszać swoje „trzy grosze“ do dyskusji dwuch profesorów filozofii. Jestem w sprawach filozofii wielkim ignorantem i tę swoją ignorancję nieraz odczuwam, jako wielki intelektualny defekt.

Poruszony jednak przez Ojca Bocheńskiego i będący przedmiotem dyskusji między nim a prof. Żółtowskim temat obchodzi żywo również i t.zw. „szarego człowieka“. Niech mi wolno będzie , jako takiemu „szaremu człowiekowi“, wypowiedzieć poniższych parę skromnych i niekompetentnych uwag.

Znałem bliżej jednego tylko człowieka sowieckiego, ale zato dosyć reprezentatywnego. Był nim nieżyjący już podobno dzisiaj, rodzony syn Stalina (z pierwszego małżeństwa), z którym, jak wielu Polaków, kolegowałem w obozie jeńców wojennych w Niemczech. Obcując z nim, byłem zawsze uderzony zwartością i konsekwencją jego wrogiego mi światopoglądu. To nie był zwykły człowiek, nie wierzący w Boga, jakich się przecież spotyka nieraz, ale jacy robią wrażenie przede wszystkim słabości. To nie był również człowiek rozagitowany, nafaszerowany formułkami, do których jest przywiązany uczuciowo i których . się trzyma wbrew logice.

To był człowiek o otwartej głowie, umiejący patrzeć na rzeczywistość otwartymi oczyma, umiejący w razie potrzeby zrewidować swoje pojęcie o faktach, ale oceniający świat konsekwentnie wedle zasad swojego sposobu myślenia. Od mózgu jego argumenty odbijały się, jak piłka od ściany. Na wszystko miał gotową odpowiedź, czy mowa była o religii, czy o ekonomii, czy o polityce, czy o budowie społeczeństwa, czy wreszcie o tym, co nazywał filozofią i co uzasadniał powoływaniem się na sowieckie, filozoficzne autorytety — zawsze miał stanowisko wolne od wahań, kategoryczne i wypowiadane z siłą przekonania.

Jego światopogląd można, a nawet trzeba nazwać — używając słów Ojca Bocheńskiego, do których prof. Żółtowski zgłosił akces — barbarzyńskim i płytkim. Ale nie można mu odmówić wewnętrznej logiki. Co więcej, światopogląd ten był światopoglądem fanatyka: w bronieniu tego światopoglądu było coś bezmała radosnego — coś, co cechuje żarliwych wyznawców religii. Nie wiem dlaczego, porucznik Dżugaszwili robił na mnie chwilami wrażenie wyznawcy Islamu.

Ci nieliczni komuniści, z jakimi się w życiu spotkałem, naprzykład komuniści niemieccy i czescy, z którymi siedziałem w jednej celi w więzieniu Gestapo w Berlinie, byli, na mniejszą skalę, do niego podobni. Myślę, że tacy sami są, mniej więcej, wszyscy komuniści na świecie. Ich światopogląd jest barbarzyński i płytki, ale „trzymający się kupy“. I to jest ich siła. W dzisiejszych barbarzyńskich czasach, gdy tak bardzo upadła wiara i cywilizacja i gdy rozpanoszenie się wszelkich form materializmu, chęci użycia i nienawiści obniżyło nie tylko poziom moralny, ale także poziom myśli szerokich mas, są w świecie miliony ludzi, którzy są barbarzyńscy i płytcy. Dla ludzi tych komunizm staje się swoistą religią — prymitywną, dziką, ale logiczną i zdolną rodzić w swych wyznawcach ducha fanatyzmu.

Religia ta szerzona jest dziś w świecie przez propagandę. A w Polsce wtłaczana jest w umysły młodego pokolenia systematyczną tresurą, uprawianą środkami, jakimi dysponuje totalistyczny aparat państwowy: tresurą komunistycznej szkoły, komunistycznej służby wojskowej, jednolitej prasy i książki i tak dalej. Rządy obecne w Polsce, to nie jest tylko okupacja. To jest, co gorzej, także i najazd obcej quasi-religii, wtłaczanej w polskie mózgi tak, jak ongiś Islam wtłaczany był w dusze podbitej ludności w krajach pod panowaniem arabskim.

Już dzisiaj sprawa uwolnienia Polski to nie jest tylko sprawą wypędzenia sowieckiego okupanta oraz wypędzenia, albo ujarzmienia i ubezwładnienia jego rdzennie polskich agentów i janczarów. To jest ponadto sprawa oczyszczenia milionów polskich umysłów i dusz z myślowego osadu, pozostawionego przez wpływ komunistycznej doktryny.

Komunistyczna tresura w Polsce pracuje nad wytworzeniem typu człowieka o mózgu uformowanym na jedną modłę. Niektóre jednostki na swoją modłę urobiła. Inne — zaraża wątpliwościami i niepokojem oraz drąży i podgryza wpływem częściowym. Niedostrzeganie tego byłoby zamykaniem oczu na niebezpieczeństwo. Trzeba „brać byka za rogi“ i niebezpieczeństwu się przeciwstawić, a nie negować jego istnienie lub bagatelizować je. To nie dość zwalczać komunizm — i Rosję — politycznie. Trzeba komunizmowi przeciwstawić światopogląd i system myślenia. A ponadto, trzeba ludziom przez komunizm urzeczonym lub choćby tylko nadwątlonym i zachwianym na tezy komunistycznego sposobu myślenia odpowiedzieć. Trzeba im dać argumenty, trzeba wyjaśnić ich wątpliwości, trzeba narzuconemu im systemowi myślenia przeciwstawić system myślenia inny. Trzeba im odpowiedzieć na każdą — choćby najbardziej barbarzyńską i płytką — teorię ekonomiczną, społeczną, czy filozoficzną.

Przechodząc koło jednej z księgarń katolickich w Londynie zobaczyłem w oknie niedużą, wydaną w Cork w Irlandii książeczkę p.t. **„Aquinas versus Marx“**. Kupiłem ją, ale jej jeszcze nie zdążyłem przeczytać; tyle tylko mogę o niej narazie powiedzieć, że treścią jej jest polemika z doktrynami ekonomicznymi Marksa w oparciu o naukę św. Tomasza z Akwinu. Powstrzymuję się na razie od mówienia czegokolwiek o tej książce; chodzi mi tylko o tytuł. Właśnie tego nam potrzeba — ścisłej i logicznej, opartej o pozytywny światopogląd i doktrynę repliki „versus Marx“ i „versus Lenin“.

Cóż może świat zachodni przeciwstawić doktrynie komunistycznej? Wydaje mi się, że nic innego prócz tomizmu nie wymyślimy. Oczywiście podwaliną życia duchowego i cywilizacji zarówno Polski, jak świata zachodniego, jest wiara chrześcijańska i katolicyzm. Ale wiara to jeszcze nie jest system ekonomiczny, ani metoda filozoficznego myślenia. W walce duchowej z przeciwnikiem nawet tak barbarzyńskim i płytkim, jak komunizm, potrzebujemy doktryny filozoficznej, a także i ekonomicznej, społecznej itd., o podstawy wiary katolickiej opartej. Oczywiście, św. Augustyn jest także myślicielem katolickim. Ale nie sądzę, by nam on jako doktryna wystarczył. Podstawą sposobu myślenia świata chrześcijańskiego broniącego się przed komunistyczną nawałą, jest i musi być nauka św. Tomasza. Oczywiście, św. Tomasza skonfrontowanego z rzeczywistością dzisiejszą, a więc rozwiniętego wysiłkiem myśli nowoczesnej.

Dla szerokiego, wykształconego ogółu polskiego — i nie tylko polskiego — nakazem chwili jest **uczyć się św. Tomasza z Akwinu.**

Ale to nie dość mieć światopogląd pozytywny. Trzeba ponadto znać argumenty przeciwnika i umieć na nie znaleźć odpowiedź.

Ojciec Bocheński wzywa do czytania Lenina. Oczywiście, nie jest to zalecenie dla maluczkich, nawet dla takich maluczkich, którzy mają stopnie doktorskie, ale gruntownej dyscypliny myślowej filozoficznej katolickiej nie mają. O ile dobrze Ojca Bocheńskiego zrozumiałem, wcale on szerokiego ogółu polskiej inteligencji do czytania Lenina nie wzywał. Lektura taka byłaby niebezpieczna. Natomiast podpisuję się oburącz pod poglądem Ojca Bocheńskiego, że dla mających gruntowy światopogląd katolicki profesorów filozofii czy też ekonomii nie ma pilniejszego i bardziej na czasie zadania, niż czytanie Lenina i innych „rabbich“ komunistycznej doktryny. Czytanie po to, aby ich odeprzeć.

Jędrzej Giertych

GŁOS STUDENTA

Wielce szanowny Panie Redaktorze!

Związku z artykułem O. Bocheńskiego o Leninie i tomiźmie oraz z głosem na ten temat prof. Żółtowskiego pragnę dodać kilka uwag.

Wymieniony artykuł zrozumiałem następująco:

Sowiety posiadają mocny, aktywny światopogląd, oparty o filozofię Marksa i Lenina. Zachód takiego światopoglądu nie posiada, chociaż ma filozofię, która jedyna z wielu innych mogłaby mu posłużyć za podstawę do uniwersalnego, walczącego światopoglądu. Filozofią tą jest tomizm. Dlatego też O. Bocheński wzywa do poznawania filozofii św. Tomasza z Akwinu oraz do poznawania przeciwnika przez studiowanie jego filozofii. (Nieważne czy jest ona sofistyką, jak ją w wypadku Lenina nazywa prof. Żółtowski. Sokrates **walczył** z sofistami nie przez ignorowanie ich fałszywej nauki, ale przez wykazywanie tego fałszu na podstawie swojej własnej filozofii).

Innego równie skutecznego, oprócz tomizmu oręża walki z Sowietami Zachód nie posiada i nawet jego militarne zwycięstwo nad Sowietami nie przyniesie Europie i światu dlugotrwałych korzyści, jeżeli za siłą militarną nie będzie stała potęga ducha, objęta, zrozumiana i wyłożona przez Św. Tomasza z Akwinu.

Odrodzenie religijno-moralne na Zachodzie, o którym dzisiaj coraz mniej słychać, to nie tylko nawrót do praktyk religijnych i przestrzeganie etyki katolickiej w życiu, to przede wszystkim poznanie podstaw, które nam to odrodzenie umożliwią, a więc i naszej religii i praktykom z nią związanym oraz całokształtowi naszego życia nadadzą cenną, dynamiczną treść.

Na miejscu O. Bocheńskiego wysunąłbym z Jego rozważań następujący wniosek:

W uczelniach polskich, m.in. i w Polish University College, **należy wprowadzić jako przedmiot obowiązkowy filozofię tomistyczną**, zaś wszędzie tam, gdzie są większe skupiska studiujących Polaków, jak np. w Madrycie, Brukseli, Paryżu, Bejrucie i wszędzie indziej należy zorganizować kursy dla wykładów tej filozofii. Między innymi i w polskiej szkole nauk politycznych w Londynie, która wzięła na siebi szczytne zadanie kształcenia przyszłych dyplomatów(!).

Zwracam się jednocześnie do Pana Redaktora z prośbą o podanie adresu O. Bocheńskiego, gdyż chciałbym z Nim się porozumieć na temat powyższego projektu tym bardziej, że z góry zobowiązuję się od nowego roku akademickiego uczęszczać w Londynie na wykłady filozofii tomistycznej wraz z dziesięcioma innymi studentami.

Z poważaniem

J. Z. Kędzierski
Ashby Forville Hostel
Melton Mowbray, Leic's.

FILOZOFIA BOLSZEWICKA

Wszystkim naszym Czytelnikom, którzy pragną — na tle dyskusyj, wywołanych artykułem o Leninie i tomiźmie — pogłębić swą znajomość filozofii bolszewickiej, gorąco polecamy znakomite dziełko p.t. FILOZOFIA BOLSZEWICKA (autor Józef Miche). Jest to jak dotąd — najlepsze w literaturze polskiej (i nie tylko polskiej) przedstawienie podstawowych tez filozofii bolszewickiej, analiza źródeł systemu oraz ocena. Bardzo cenny jest dołączony do książki słownik najważniejszych terminów filozoficznych, który nie tylko ułatwia czytanie tej książki, ale i innych, operujących terminami filozoficznymi. Słowniczek ten będzie bardzo przydatny w czasie czytania w ŻYCIU „ABC tomizmu“. Cena książki (stron 94) specjalnie obniżona wraz z przesyłką tylko 1/6 sh. —

ZASIANE ZIARNA

dokończenie ze strony 3

„Displaced Person“ i „Świadek“ nie są sztukami, które nas przeżyją, ale któż wie czy nie jest to pisane każdej następnej, zrodzonej w równie szczerym pragnieniu, aby dać odzew temu „co nam w duszy gra“?

BOHATERSTWO NA CODZIEŃ

Wszystko to, o czym tu mowa jako o dokonaniu i możliwości, stało się i staje za sprawę żywego człowieka — aktora. On sprawił, że sztuka napisana ożyła przed oczami widza. On również sprawia, że stając się co wieczora przelotną zjawą, rozsuwa nici ze światła między ludźmi polskiej mowy, których tu zatrzymał zły los i wola jego odmiany.

Ale to wszystko byłoby tylko wielkim słowem, gdyby czytelnikowi nie uświadomić, w jakich się to dzieje warunkach i za jaką cenę. Wymowny artykuł p. Wacława Zagórskiego p.t. **„Jak pracują aktorzy?“** w nr. 2 „Teatru i Widowni“ uczynił z tej publicznej tajemnicy, publiczną, powszechnie dostępną prawdę. Aktorzy Polskiego Teatru Dramatycznego zarabiają £4 tygodniowo, prowadząc koczowniczy, kosztowny, wyczerpujący tryb życia, grając w najbardziej prymitywnych warunkach, pełniąc jednocześnie funkcje techniczne i administracyjne, przemierzając dziesiątki mil co dnia i co wieczora grając w innym miejscu, przeżywając długie rozłąki z rodzinami, zdzierając siły i zdrowie.

Nie ma fałszywego patosu w stwierdzeniu, że jest to służba żołnierska w pokoju, bohaterstwo na codzień. Aktorzy tego teatru są ideowcami na miarę ludzi Żeromskiego, są emigrantami politycznymi czynnie, praktycznie realizującymi swój ideał.

Ten obraz i ta ocena obejmuje inne zespoły z tą różnicą, że prawie wszystkie podporządkowują cele artystyczne kalkulacji handlowej. Artykuł p. Zagórskiego nie dopowiada tej istotnej rzeczy: **aktorzy Polskiego Teatru Dramatycznego opłacają jego poziom artystyczny i ideowy z własnych zarobków, sami subwencjonują swoją scenę.** Z małymi wyjątkami nie grają repertuaru bezwartościowego, sami jedni grają sztuki o większej obsadzie (do 10 osób), dali sceniczne życie pięciu po kolei sztukom polskim, powstałym na emigracji.

Jest to stan rzeczy krzepiący, ale także przejmujący troską. Na dłuższy dystans nie da się on utrzymać. Staje się to niemożliwe i dlatego także, iż ze zdrowym ziarnem mieszają się chwasty, że zieloną ruń tłumi perz, coraz bujniej się pleniący i przez nikogo nieplewiony.

O tym za tydzień.

Tymon Terlecki

ŻYCIE, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY
Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „ŻYCIE“ — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefony: Redakcja i Administracja — AMB 6879. Drukarnia PAD 9734
Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.
Administracja czynna: od 14 do 17 codziennie od godz. 9 do 13 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/-
Wszelkie wpłaty: przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed“ i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings- Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press“
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.